CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 31 Stycznia 1937 R. NR. 5

Refleksje dopełniające

Myśleć należy do końca. Stąd też pragniemy wrócić tutaj do rozwijanego w poprzednim Numerze „N. i P." tematu („Budżet i sprawa żydowska", — „Naród i Państwo" Nr. 4, z dnia 24.I.1937).

Na wstępie parę przypomnień. A więc jako punkty zasadnicze w odniesieniu do sprawy żydowskiej w Polsce podkreśliliśmy następujące cechy zagadnienia: 1. że z punktu widzenia państwowych i narodowych interesów Polski utrzymanie dotychczasowej roli Żydów w naszym życiu gospodarczym byłoby rzeczą szkodliwą, 2. że bez stworzenia specjalnych i wyróżniających tę grupę ludności p r z y w i l e j ó w gospodarczych jest ono niemożliwością, 3. że w związku z tym przyszłość narodu żydowskiego nie może być w mniejszym, lub większym stopniu wiązana z terenem dzisiejszego Państwa Polskiego, 4. że niezależnie od woli i opinii dzisiejszych przywódców politycznych ludności żydowskiej w Polsce, podobnie jak niezależnie od nastrojów i haseł kół krzykliwie antysemickich, istnieje daleko idąca realna zbieżność pomiędzy interesami polskimi a żydowskimi w zakresie szukania wyjścia z obecnej sytuacji, to jest w zakresie należytego wyzyskiwania wszelkich możliwości emigracyjnych dla mas żydowskich z Polski, 5. że jednym z zasadniczych czynników sytuacji jest niewątpliwy renesans narodowo - polityczny, jaki w ostatnich dziesięcioleciach ogarnął, między innymi, również i młodsze roczniki żydowskie, potęgując z jednej strony trudności dotychczasowego współżycia, z drugiej tendencje emigracyjne, 6. że w interesie Polski, jako Państwa, jak również nawet w interesie Narodu Polskiego, jako zdrowego organizmu, leży unikanie przy rozwiązywaniu tej sprawy nastrojów histerii antyżydowskiej i środków, których istotną cechą jest nie posuwanie sprawy naprzód, ale tylko jej jątrzenie.

Pozostaje jednak szereg spraw wcale nie drugorzędnego znaczenia, związanych z całością rozpatrywanego problemu. Sprawom tym chcielibyśmy poświęcić jeszcze słów kilka.

Jednym ze stałych i naturalnych argumentów, spotykanych w prasie żydowskiej przy wszelkich dyskusjach na temat roli elementu żydowskiego w życiu dzisiejszej Polski, jest podkreślanie znaczenia gospodarczego Żydów w Polsce i to zarówno jako czynnika inicjatywy gospodarczej, jak też jako dysponenta poważnych kapitałów, jak wreszcie jako ośrodka o znacznej sile grawitacyjnej, przyciągającego poważne na stosunki polskie zasoby obcego kapitału, częściowo w postaci kredytu, częściowo w postaci charytatywnej, jak np. zasiłki dla rodzin żydowskich w Polsce, rezultaty zbiórek, przeważnie amerykańskich, na pomoc dla ubogiej ludności żydowskiej w Europie wschodniej etc.

Z punktu widzenia gospodarczego sprawa ta nie zasługuje na tego rodzaju pogardliwe potraktowanie, jak to normalnie ma miejsce. Korzyści gospodarcze nie są najwyższym dobrem, to też nie one muszą decydować. Nie znaczy to jednak, by grzechem było samo trzeźwe patrzenie na pewne strony zagadnienia.

Polska dzisiejsza, jeśli chodzi o jej problemy gospodarcze, musi decydować się na systematyczne dokonywanie mniej lub więcej planowego i mniej lub więcej konsekwentnego wyboru. Mianowicie, musi ona dążyć mniej więcej równocześnie do osiągnięcia dwóch dość często rozbieżnych celów: 1. intensyfikacji życia gospodarczego, 2. jego unarodowienia. W odniesieniu do sprawy żydowskiej rozbieżność ta idzie bardzo daleko. Możnaby powiedzieć, że stoi przed nami problem podobny, jaki stał przed Kazimierzem Wielkim. Jeśli za cel główny postawilibyśmy sobie osiągnięcie maksymalnych rezultatów w zakresie przerabiania Polski „drewnianej" na Polskę „murowaną", przy symbolicznym, oczywiście, znaczeniu obu określeń, to w konsekwencji musielibyśmy robić to samo, co robił Kazimierz Wielki, uprawiać filosemityzm gospodarczy, a co za tym idzie polityczny i społeczny, przynajmniej w tym zakresie, w jakim będzie to konieczne dla należytego wyzyskania zarówno żydowskich kapitałów, jak i żydowskiej inicjatywy gospodarczej. Jeśli wybierzemy unarodowienie naszego życia gospodarczego, musimy z wielu możliwości gospodarczych rezygnować, przy czym, oczywiście, zawsze lepiej jest rezygnować świadomie, niżeli poomacku.

Stawiając powyższy dylemat, nie mamy zamiaru dokonać w tym momencie zasadniczego cięcia, bezapelacyjnie przesądzającego wszelkie możliwe wypadki w myśl absolutnie sztywnej i nieelastycznej zasady. Natomiast wydaje się nam, że nie jest trudne odnalezienie właściwego klucza sprawy. Leży on — bodajże — w tym sformułowaniu zadań najbliższych pokoleń polskich, jakie zmarły niedawno b. Marszałek Sejmu, Ignacy Daszyński, w jednym ze swych przemówień wysunął, jako płaszczyznę porozumienia wszelkich najbardziej nawet rozbieżnych czynników życia politycznego polskiego: „Czyńmy tak, byśmy nigdy więcej w niewolę się nie dostali!". W myśl powyższej zasady, o ile w jakimkolwiek punkcie przejawiać się będzie konieczność wyboru między dążeniem do intensyfikacji naszego życia gospodarczego i do jego unarodowienia, momentem decydującym musi być przede wszystkim wzgląd na to, co w danym wypadku i w danym momen-

cie może być postulatem wyższego rzędu z punktu widzenia interesów naszej obronności, naszej siły państwowej, naszej racji stanu.

Jeśli chodzi o moment obecny, a równocześnie o hasła, które mogłyby być wyrazem polskiej racji stanu z punktu widzenia dalszej przyszłości, wydaje się nam, że zarówno w odniesieniu do zagadnienia żydowskiego, jak wogóle w odniesieniu do roli kapitałów obcych w Polsce, jest dzisiaj chwila, w której hasła unarodowienia naszego życia gospodarczego, rozbudzenia polskiej energii gospodarczej, położenia w ten sposób podstaw do uzyskania istotnej niepodległości gospodarczej, jako uzupełnienia i rozwinięcia niepodległości politycznej — wysuwają się na plan pierwszy, górując nawet nad hasłami szybkiej intensyfikacji gospodarczej Polski. Oczywiście jednak, przyjmując tego rodzaju sformułowanie, trzeba pamiętać, że musi ono być ujmowane i rozumiane przede wszystkim od swej pozytywnej strony, to jest jako dążenie do rozwoju życia polskiego i polskich sił gospodarczych, nie zaś od strony negatywnej, to jest jako zadanie niszczenia placówek niepolskich, chociażby nawet kosztem uwstecznienia dzisiejszego poziomu naszego życia. Odnosi się to zarówno do sprawy żydowskiej, jak i do wielu innych problemów gospodarczych, związanych z rolą kapitału obcego w Polsce.

Na zagadnienie to, podobnie jak na wiele innych zagadnień Polski współczesnej, musimy patrzeć z pełną świadomością kierunku, w którym chcielibyśmy widzieć rozwój wypadków i z tym rozwojem współdziałać. Równocześnie jednak musimy mieć i inne poczucie: poczucie, że współczesność jest tylko częścią historii, a organizm Państwa, podobnie jak organizm człowieka, zwykle reaguje ujemnie na nadmiernie ostre podrażnienia.

Jeśli na zagadnienie żydowskie w Polsce będziemy patrzyli jako na zagadnienie, które chcemy rozwiązać w roku 1937, istotnie musi ono przesłonić nam wszystko w Państwie, mimo że zapewne w niczym to nas do istotnego rozwiązania nie przybliży. Natomiast jeśli rok 1937, tak jak każdy rok poprzedni i każdy rok następny, będzie rokiem należycie wyzyskanym na polu rozwoju polskich sił narodowych we wszystkich dziedzinach naszego życia, to po pewnym czasie rezultaty dodatnie będą niewątpliwie widoczne również i w zakresie sprawy żydowskiej. A to z punktu widzenia historii jest rzeczą bodajże najważniejszą. I dlatego trudno się zgodzić z tym, aby właśnie w roku 1937 była potrzebna tak szczególna nerwowość w traktowaniu tej sprawy. Chyba, gdybyśmy uważali, że jesteśmy tak słabi, że w sprawie tej możemy działać tylko w warunkach obecnej jej koniunktury światowej, to jest za szerokimi plecami Kanclerza Hitlera, jako firmanta, ponoszącego odpowiedzialność za dzisiejsze napięcie akcji antyżydowskiej w Europie. Lecz to by oznaczało tak daleko posuniętą niewiarę w siły własnego Narodu, że nie mogłoby być uważane za przejaw i czynnik istotnego zdrowia organizmu narodowego.

*

Pewnym szczególnym momentem zagadnienia żydowskiego w Polsce jest sprawa roli elementu żydowskiego, czy też ściślej, roli jednostek pochodzenia żydowskiego, w całości naszego życia kulturalnego i politycznego.

Dzisiejszy charakter tego zagadnienia jest daty stosunkowo dość świeżej. W okresie niewoli było ono niejako samorzutnie regulowane, wobec tego, że wybranie w owym okresie dla siebie jednego z bardziej naówczas gorzkich chlebów duchowych, „chleba polskości", wiązało się przeważnie z pewnego rodzaju próbą charakteru i szczerości związków z polskością. Dzisiaj znaczenie tego sprawdzianu zmalało. A równocześnie musi nam jak najbardziej zależeć na tym, by polskość była synonimem czegoś więcej, niżeli tylko zewnętrznej formy, by była ona wyrazem najgłębszego i najbardziej ofiarnego stosunku jednostki do sprawy Państwa i Narodu. I dlatego nie może nam być obojętna groźba wytwarzania się w zakresie naszej kultury i naszych warunków politycznych pewnej powierzchownej tylko poprawności stosunku do podstawowych zagadnień naszego bytu państwowego.

Zagadnienie to nie dotyczy sprawy żydowskiej w całej jej rozciągłości, dotyczy natomiast drobnego stosunkowo jej fragmentu: zagadnienia polskiej asymilacji narodowej jednostek pochodzenia żydowskiego. Jednakże w całości sprawy fragment ten odgrywa niewątpliwie rolę znacznie bardziej doniosłą, niżeli wynikałoby to z jego zewnętrznego liczbowego wyrazu, który jest i będzie nikły.

W zwartości dzisiejszego ostro antysemickiego frontu w Polsce, opartego o zasady niemieckiego rasizmu, sprawa ta odgrywa swoistą i charakterystyczną, niepozbawioną nawet pewnej groteskowości, rolę. Jednakże nie o te wstydliwe punkty polskiego „rasizmu" nam chodzi. Wstydliwe punkty są tylko jakby przykładem, że sprawa nie przedstawia się prosto. Przemilczenie i w tym wypadku nie jest metodą najlepszą.

Jest w Polsce pewna, niezbyt wielka w stosunku do rozmiarów istotnego zagadnienia żydowskiego, liczba ludzi, pochodzenia żydowskiego, która weszła już niejako w orbitę polskiego życia nie tylko państwowego, lecz i narodowego, która w wielu wypadkach dawała dowody swego czynnego patriotyzmu, która jest rozmieszczona po wszystkich odcieniach i odłamach polskiego życia umysłowego i politycznego, z dość nawet szczególnym uwzględnieniem niektórych przynajmniej odłamów naszej nacjonalistycznej prawicy.

Stosunek do tego zagadnienia nie jest ani łatwy, ani prosty. W każdym jednak razie za jego właściwą formę nie można uważać tego, co się dziś w Polsce obserwuje: specyficznego szantażu, polegającego na wzajemnym nieustającym wypominaniu sobie grzechów odnośnie tego punktu.

To jest stosunek najmniej rzeczowy, lecz najbardziej poniżający i ogłupiający. Trzeba decydować się na kryteria bardziej istotne, niżeli te, czy ktoś jest swój, czy cudzy. Takim kryterium może być integralny rasizm, z całym jego aparatem tablic genealogicznych, ograniczeń prawnych i faktycznych, teoretycznej podbudowy przekonania o wyjątkowej roli własnej rasy i własnej krwi. Oczywiście decydując się na przyjęcie tego rodzaju kryteriów, należałoby pamiętać i doceniać fakt, że jest to równoczesne przeciwstawienie się kryteriom światopoglądu opartego na etyce chrześcijańskiej. Lecz to już rzecz wyznawców, co chcą w danym momencie wyznawać.

W warunkach polskich przyjęcie kryteriów tego typu byłoby bardzo szkodliwe, mimo że może uprościłoby sytuację. Państwo, którego trzecią część ludności stanowią mniejszości narodowe, nie może wyjść dobrze na tym, jeśli będzie rozsadzane, między innymi, przez wyłączność i tendencje izolacyjne kierującego Narodu, przede wszystkim za Państwo odpowiedzialnego.

Natomiast kluczem istotnym do zagadnienia może i powinno być co innego: surowy sprawdzian sposobu postępowania i stosunku do obowiązków, płynących z polskości. Kto jest obywatelem Państwa Polskiego musi lojalnie wypełniać obowiązki obywatelskie, kto jest członkiem Narodu Polskiego, przyjmuje na siebie ciężar dodatkowy, nieladajaki: ciężar dobrowolnego w najwyższym stopniu ofiarnego stosunku do potrzeb i interesów zarówno Państwa, jak Narodu. Polakiem nie można być połowicznie, za wypowiedzeniem, ani z zastrzeżeniami, płynącymi z dobrodziejstwa inwentarza. Kto pod tym względem nie jest zdecydowany, lepiej będzie, jeśli powstrzyma się od przyjmowania cech, które mogą mu być w pewnych wypadkach obce i krępujące. A równocześnie musi się wyrzec złudzeń, jakoby z faktu wypełniania obowiązków państwowych, czy narodowych, chociażby wypełnienie to było i dobre i ofiarne, mogły dla niego płynąć szczególne uprawnienia, choćby tylko natury moralnej.

„Gorzki to chleb jest polskość" — mówił za czasów niewoli jeden z poetów emigracyjnych. W naszych warunkach gorycz ta jeszcze długo nie będzie z życia polskiego całkowicie usunięta. Kto chce ją z Narodem Polskim dzielić, musi ją dzielić bez skrzywienia. I to jest podstawowy warunek, którego wypełnienie dopiero stanowi o tym, czy ktoś może być uważany za Polaka.

Ś. P.

ALEKSANDER SZCZEPAŃSKI

b. KONSUL R. P.

Uczestnik prac dawnego „Zetu". Członek Związku Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Wielkiej zasługi działacz i pracownik na polu potęgowania sił polskich.

Zmarł dnia 21 stycznia roku 1937. Cześć Jego życiowej zasłudze i pamięci!

Zarząd Główny
Związku Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej
i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej

Dr. St. Antoniewski

Zapas ziemi

Sprawa przyśpieszenia parcelacji większej własności rolnej, słusznie przez obecny rząd wznowiona i popierana, znalazła żywy oddźwięk w prasie. Dyskutowane są zagadnienia produkcyjności dużych i małych gospodarstw, ich zdolność aprowizacji miast i wojska, udział w eksporcie, stopień opłacalności obu form gospodarowania, konsekwencje parcelacji dla obronności kraju. Oprócz dziedziny gospodarczej podnosi się stronę społeczno - polityczną i narodowościową reformy rolnej — i należy obiektywnie przyznać, że w sporze tym przewaga ekonomiczna i społeczna drobnych gospodarstw występuje z całą pewnością. Nie poruszono jednak dotąd pytania, jaki mniej więcej obszar ziemi może jeszcze wchodzić w grę jako zapas na rzecz parcelacji (kolonizacji i upełnorolnienia). Jeśli pozostała powierzchnia jest zgoła niewielka, jak twierdził jeden z publicystów — 0,5 mil. ha, — to zagadnienie parcelacji ipso facto sprowadzałoby się w ogóle do czysto teoretycznego rozważania. Inny autor określał tenże zapas ziemi na 3,6 mil. ha, spotyka się także liczbę 2,5 mil. ha. W tym wypadku jest o czym mówić, jakąkolwiek przyjęlibyśmy kwotę zapotrzebowania na ziemię. Bo przecież rachunkowi ziemi należałoby przeciwstawić rachunek przeludnienia, co jednak zaprowadziłoby nas tutaj w rozważaniach zbyt daleko, zresztą było to przedstawiane w ostatnich latach w miesięczniku „Rolnictwo".

Musimy sobie z góry powiedzieć, że obliczenie zapasu ziemi może być w tej chwili, zanim ukończone zostaną oficjalne ścisłe zestawienia, dokonane tylko z dużym przybliżeniem i jeśli próbę tę podejmujemy już teraz, to dlatego, aby wśród materiałów, których dyskusja dostarczyła opinii publicznej, nie zabrakło oświetlenia tego podstawowego elementu. Nie wiemy dokładnie, jaką przestrzeń wynoszą grunty kościelne i fundacyjne, w jakim stosunku rozdzielić między dużą i małą własność, a także wieś i miasto t. zw. grunty prawa publicznego, ile hektarów mogłoby zostać przeznaczone na parcelację z obszarów leśnych tam, gdzie las jest zdewastowany, ziemia pod nim nadaje się do uprawy, a zaludnienie szczególnie jest zagęszczone. Nie posiadamy ziwentaryzowanych nieużytków; statystyka nie mówi, w jakim procencie przechodzi w ręce chłopskie ziemia z majątków nieobjętych reformą rolną. Do powyższych trudności dochodzą inne zastrzeżenia. Czy pod zapasem ziemi należy rozumieć obszar, którym dysponujemy w ramach ustawy o reformie rolnej? Czy temu pojęciu nadać szersze życiowe znaczenie, w naszym rozumieniu jedynie słuszne, a więc z uwzględnieniem koniecznych alternatyw, jak ograniczenia wyłączeń z ustawy, obniżenia maksimum posiadania, melioracja nieużytków, wspomniana istniejąca zresztą parcelacja gospodarstw nieobjętych ustawą, uzasadniony gospodarczo rozpad wielkochłopskich gospodarstw, mniej produkcyjnych i opłacalnych od średniochłopskich. Przy dopuszczeniu (każdej z tych ewentualności zapas ziemi, na której mogłyby osiąść nowe rodziny chłopskie, jako samodzielni gospodarze, oczywiście wzrasta. Nie będziemy się zresztą kusili, żeby te wszystkie możliwości w niniejszych rozważaniach wyczerpać.

Przede wszystkim przypomnijmy, że art. 4 ustawy o reformie rolnej określił zasadnicze maksimum posiadania na 180 ha użytków rolnych, przy czym dla województw wschodnich liczba ta została podwyższona do 300 ha, a w okolicach wielkich miast obniżona do 60 ha. Art. 5 ustawy dopuścił nadto pozostawianie większych od normy obszarów w razie konieczności zabezpieczenia specjalnych działów produkcji, przemysłu rolnego i t. p., ograniczając te wyłączenia do sumy nie wyżej 550 tys. ha. Praktycznie obszar wyłączeń z tytułu art. 5 wynosi tylko 314 tys. ha, życiowo jednak wyłączenia w niewielkiej części są uzasadnione, głównie przy produkcji nasion obcopylnych, — hodowla czy gospodarstwa rybne ich nie wymagają. Nie jest również warunkiem egzystencji przemysłu rolnego przerabianie własnego surowca, nie mówimy o cukrowniach i browarach, co się rozumie samo przez się, ale znamy przykłady, że gorzelnia prosperuje dobrze na obcych ziemniakach, a krochmalnia stoi bezczynnie, chociaż pozostawiono jej dostateczny areał do zaopatrzenia we własne ziemniaki.

Od roku 1919 do 1937 przeszło w posiadanie drobnej własności 3 miliony ha w czym w drodze parcelacji powyżej 2,4 mil. ha, zaś z tytułu regulacji serwitutów około 0,6 mil. ha (przy czym w ostatniej pozycji należy przyjąć do 1/5 za uregulowaną użytkami rolniczymi, reszta lasem).

Według spisu 1931 r. większe gospodarstwa prywatne posiadały 4.619 tys. ha ziemi użytkowanej rolniczo (bez lasu), nieużytków i t. zw. innych gruntów 988 tys. ha; grunty związków prawa publicznego posiadały 1.451 tys. ha użytków rolniczych i 1.723 tys. ha nieużytków. Od roku 1932 do końca 1936 rozparcelowano ogółem około 400 tys. ha, w czym zapewne 15% ziemi państwowej. Na regulację serwitutów obrócono w tym czasie około 86 tys. ha. To jest stan faktyczny, a teraz przejdźmy do preliminarzy.

Ogólny zapas ziemi na reformę rolną, na podstawie przepisów obowiązującej ustawy, wynosił na dzień 1.IX. 1936, według danych Ministerstwa Rolnictwa i R. R. 1.534 tys. ha w 4.657 majątkach. Suma ta znacznie maleje po odjęciu 393 tys. ha nieużytków, 112 tys. ha już będących w posiadaniu drobnych dzierżawców i użytkowników oraz 98 tys. ha enklaw położonych wśród lasów. W rezultacie zapas ziemi nadającej się pod względem jakości i innych cech na parcelację wynosił 930 tys. ha, zaś po wyłączeniu 27 tys. ha z nadzwyczajnego wykazu imiennego na rok bieżący — netto 903 tys. ha. Odpowiednich gruntów państwowych pozostało jeszcze do parcelacji około 51 tys. ha, łącznie więc podług obecnego stanu prawnego dysponowalibyśmy zaledwie 954 tys. ha ziemi. Powstaje uzasadnione pytanie, czy to jest wszystko i w tym celu przeprowadzimy nasz rachunek ze wszelkimi zastrzeżeniami, o których wyżej.

Przypuszczalny stan użytków rolnych na dzień 1.I. 1937 wynosił dla dużej własności prywatnej z górą 4¼ mil. ha, dla związków prawa publicznego niespełna 1,4 mil. ha, razem około 5,65 mil. ha. Przyjmując, że 112 tys. ha, należących do dużej własności i 23 tys. ha (dane z 1921 r.) własności kościelnej jest w dzierżawie lub innej formie użytkowania już gospodarowana przez drobną własność, zaokrąglamy sumę tę do 150 tys. ha ze względu na możliwość drobnych dzierżaw gruntów państwowych, miejskich i t. p. Pozostawałaby więc globalna liczba 5.5 mil. ha, w której zawarta jest także powierzchnia użytków rolnych wspólnot wiejskich, wynosząca w 1921 roku około 1 miliona ha. Grunty wspólne, przeważnie pastwiska gminne, chociaż należące do drobnej własności można w przeważnej części (prócz hal i połonin) wliczać do zapasu ziemi ze względu na ich ekstensywne użytkowanie, ulegające na ogół poprawie po podziale. Nie posiadamy informacyj, w jakiej mierze wspólnoty dotychczas uległy podziałowi przy sposobności komasacji (zapewne w połowie, proporcjonalnie do postępu akcji scaleniowej), nie

wiemy również, ile własności kościelnej, która w 1921 roku posiadała ogółem 143 tys. ha użytków rolnych, uległo parcelacji. Sądzimy, że głównie z powodu już dokonanego podziału części wspólnot oraz wyłączenia tych, których pozostawienie jest celowe (pastwiska górskie — około 100 tys. ha, a dalej po wyłączeniu gruntów obecnych i przyszłych szkół rolniczych (5 tys. ha), zakładów doświadczalnych (5 tys. ha) oraz niektórych miejskich itp. nie zeszlibyśmy, przy posiadaniu dokładniejszych danych statystycznych o wiele poniżej 5 milionów ha, może 4.9 mil. ha. W liczbie tej mieszczą się grunty fundacyjne (około 100 tys. ha), których wypuszczenie w wieczyste drobne dzierżawy słusznie jest zamierzone, oraz kościelne (pozostałe około 100 tys. ha).

Spośród blisko 4 milionów ha nieużytków i „innych gruntów", które Polska posiada, poniżej połowy tej powierzchni należy zaliczyć do gruntów pod zabudowaniami, drogami i podwórzami wiejskimi (820 tys. ha, w mał. wł. 2,8% pow., w dużej 2,1%) i pod szlakami komunikacyjnymi (620 tys. ha, w czym drogi żel. 100 tys. wodne 150 tys. i dr. publ. bite i gruntowe 370 tys. ha) oraz zajętych przez własność samorządową i państwową w miastach, cmentarze, parki publiczne, stadiony, lotniska (50 tys. ha), a nadto znajdujące się pod skałami i innymi wodami, lotnymi i poligonami wojskowymi. Powyżej połowy, czyli z górą 2 mil. ha jest kwalifikowane jako zdatne do rolniczego użytkowania po uregulowaniu stosunków wodnych; samo Polesie może po osuszeniu dostarczyć 500 tys. ha na kolonizację i upełnorolnienie.

Nie poruszam tu, oczywiście, całości obszaru nadającego się w Polsce do zmeliorowania (18 mil. ha). Stopniowo więc i przy nakładzie środków, których przeznaczenie na ten cel jest koniecznością państwową, uzyskalibyśmy z latami jeszcze przeszło 2 mil. ha użytków z powyższego tytułu, w czym zapewne $^1/_6$ część stanowi własność chłopska.

Doszliśmy więc do zarysowania pewnej cyfry maksymalnej przy założeniu zaliczenia do zapasu ziemi na parcelację bez reszty wszelkich dostępnych obszarów i przekształcenia Polski na kraj wyłącznie drobno-rolniczy. Spróbujmy teraz przeprowadzić rachunek inną metodą: zamiast eliminacji — przez sumowanie a nadto przy założeniu utrzymania, z małym wyjątkiem, status quo w obowiązującym ustawodawstwie o reformie rolnej oraz przy pewnej rewizji konkordatu z Rzymem. M-stwo Rolnictwa i R. R. zaliczyło, jak wspominaliśmy, w myśl istniejącej ustawy 903 tys. ha na parcelację. Do tego dochodzi: gruntów państwowych 51 tys. ha, fundacji i kościelnych około 200 tys. ha, zbędne wyłączenia z art. 5 — 300 tys. ha, dobrowolna całkowita parcelacja połowy majątków objętych reformą rolną 450 tys. ha, dobrowolna parcelacja majątków nie podlegających reformie rolnej (w 1921 roku gospodarstwa wielkości 50 — 200 ha miały powierzchnię około 1 miliona ha) — 450 tys. ha, pozostałe wspólnoty gminne, nadające się do podziału — 450 tys. ha. Po dodaniu dochodzimy do liczby 2,8 milionów ha, która porównana z poprzednio wyprowadzoną przy założeniu całkowitej parcelacji liczbą 5 milionów ha daje różnicę 2,2 miliony ha, pozostawionych dużej własności (w czym 112 tys. ha u drobnych dzierżawców).

Jeśli w pierwszym rachunku podaliśmy powierzchnię dużej własności prywatnej na zgórą 4¼ mil. ha, zaś w drugim rachunku z tej powierzchni wyliczyliśmy (900+300+ +450+450) = 2,1 mil. ha, to różnica wynosi istotnie otrzymaną kwotę 2,2 mil. ha, którą praktycznie biorąc, będą jeszcze stanowiły gospodarstwa wielkości powyżej 50 ha przy pełnym wykonaniu obecnej ustawy w ciągu około lat 12 (licząc po 200 tys. ha rocznie na parcelację pow. wspólnot) i bez udzielania gospodarczych przywilejów, powstrzymujących sztucznie normalną podaż ziemi.

Zaznaczając raz jeszcze, że przeprowadzony tu rachunek należy traktować wyłącznie jako orientacyjny w dużej skali — reasumujemy: do przymusowej parcelacji w granicach obowiązującej ustawy zapas ziemi na bezpośrednią kolnizację i upełnorolnienie wynosi około 1 milj. ha; przy rewizji ustawy bez obniżenia maximum posiadania i nowelizacji konkordatu, z uwzględnieniem dobrowolnej parcelacji — poniżej 3 milj. ha, w wypadku całkowitej likwidacji dużej własności powyżej 50 ha — około 5 milj. ha; po zmeliorowaniu nieużytków — 7 milj. ha.

Aby obliczyć, ile rodzin chłopskich może jeszcze znaleźć warsztat pracy na polskim zapasie ziemi, jest to już inne zagadnienie, mianowicie zagadnienie najdogodniejszego rozmiaru gospodarstw — wypadałoby jeszcze przyjąć pod uwagę działy rodzinne gospodarstw wielkochłopskich i obrócenie pod pług niektórych powierzchni leśnych.

Z TRYBUNY PARLAMENTARNEJ

Zagadnienia aktualne

Wojsko

(Z przemówienia posła Cz. Dębickiego).)

Gdy zabieram głos przy budżecie Ministerstwa Spraw Wojskowych, to zawsze wiążę się myślą z chwilą przeżyć wojennych, kótre dane nam wielu było przeżyć i które wiążą na całe życie zespoły ludzi, którzy wspólnie te walki przeżyli.

Dlatego twierdzę, że pokolenie nasze, prócz wielkiej dumy z tego wielkiego dzieła Narodu, jakim jest nasza armia obecna, ma jeszcze silną więź ducha z armią czynną, która to więź tylko w ogniu walki się rodzi.

Z wielką też powagą i natężeniem nie tylko przyglądamy się, ale i przeżywamy każdy krok naprzód, który wojsko w swym marszu rozwojowym czyni.

Ilekroć mamy jakiekolwiek wątpliwości co do wyboru linii postępowania w układaniu się sił gospodarczych i politycznych Państwa, jak w magnesie igły kompasowej wielu z nas szuka i analizuje, jaka jest linia postępowania w tej sprawie wojska. Analiza i uprzytomnienie sobie tego momentu, w przeniesieniu obserwacji z przeżyć jednostki na nasze społeczeństwo, pozwala stwierdzić, że większość jego szuka i widzi w wojsku nie tylko potęgę i oparcie militarne, ale też oparcie moralne.

I stwierdzić muszę, że wojsko ma ten wielki kapitał moralny we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa. Jeżeli chodzi o wieś, to sprawdzianem tego może być nastrój, w jakim przebiegła zbiórka na Fundusz Obrony Narodowej. Solidarność wsi polskiej z tą symboliczną akcją jest wprost budująca.

Niemal każdy małorolny, bytujący w niezmiernie ciężkich warunkach ze swą rodziną, spieszył, by choć drobny swój udział wnieść do Skarbu Funduszu Obrony Narodowej. Niosąc tak swój drobny udział, szedł z dumą, świadomy, że w chwili decydującej wnosi do Funduszu Obrony Narodowej udział niepomiernie wielki, udział równy z najbogatszym obywatelem kraju, bo wnosi największy skarb, jakim człowiek rozporządzać jest w stanie, bo wnosi życie i krew swoją. I to go dumą napawa, i wbrew temu nastrojowi bierności, jaki chciały niektóre odłamy prasy wywołać przez zbagatelizowanie zbiórki na F. O. N., wieś drobno-rolnicza swój udział w sybolicznej budowie potencjału armii solidarnie podkreśliła.

Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że potencjał militarny Narodu jest sumą warunków materialnych, które rozpadają się na siłę żywą, wyposażenie bezpośrednie armii oraz przygotowanie całego życia gospodarczego do zadań obrony oraz t. zw. zbrojenia moralne.

Obiektywnie też stwierdzić muszę, że wojsko te wszystkie momenty należycie docenia i jest stale katalizatorem przyspieszającym rozwój życia po linii zbrojeń materialnych i moralnych.

I oceniając działalność wojska z tej strony, stwierdzić muszę, że wiele przestawień w życiu gospodarczym Polski z linii wyłącznego interesu jednostki lub grupy, właśnie pod naciskiem i wpływem wojska, częściowo już zostało dokonanych, częściowo zaś jest w trakcie przestawiania się na linię interesu gospodarczej polskiej racji stanu.

Zdrowa polityka surowcowa kraju ma w możnej swej części swe źródło powstania i realizowania nie gdzie indziej jak w Wojsku.

Z akcją tą współdziałamy i dalej współdziałać będziemy.

Pan referent powiedział, że budżet M. S. W. jest niewystarczający. I słusznie. Wobec piętrzących się chmur burzy na horyzoncie świata, wobec zawrotnego tempa zbrojeń sąsiadów, budżet ten, zdajemy sobie sprawę, jest niewystarczający i rozszerzenie go wydaje się nam życiową koniecznością.

Wydaje się nam niezbędne nie tylko dotknięcie cyfr dotyczących gromadzenia zasobów technicznych, ale również, przynajmniej na pewien okres przejściowy, rozszerzenie ram liczebności żywej siły zbrojnej. Zwiększy to wprawdzie wydatki konsumcyjne, ale w ostatecznym swym bilansie państwowym wydatkiem tym, sądzę, zbytnio krępować się nie należy, gdyż wielki wpływ moralny i wychowawczy, jaki wojsko będzie miało na dziesiątki tysięcy młodych obywateli, którzy w okresie trwającego jeszcze impasu gospodarczego, w wielu wypadkach nie mają należytego zaczepienia o życie gospodarcze kraju, da nam wynagrodzenie i usprawiedliwienie tego posunięcia.

Nie stawiam w tej sprawie wyraźnego wniosku, prosiłbym jednak Pana Ministra o wzięcie pod rozwagę tego właśnie momentu, gdyż czas do nadania mu odpowiednich form prawnych i podstaw gospodarczych istnieje. W nas znajdzie Pan należyte oparcie.

Szkolnictwo i młodzież

(Z przemówienia posła Wł. Kamińskiego)

Największe potrzeby ma szkolnictwo powszechne na naszych terenach wschodnich, gdzie są przeważnie jednoklasówki, pracujące w najtrudniejszych warunkach. Nieco lepiej już jest na wileńszczyźnie, natomiast w nowogródzkim już nie ma prawie szkół wyżej zorganizowanych, a tam gdzie są, dostęp do nich zimą jest prawie niemożliwy. Fundusze, jakie będą do ich dyspozycji, należałoby przede wszystkim skierować na ten teren.

Pragnę wrócić do tego, o czym p. Minister wczoraj mówił na plenum. Rozumiem, że żąda się od nauczyciela, aby na terenie szkoły zachowywał się apolitycznie. Ale polityka jest robiona w sąsiedztwie — z ambony. Któż ma bronić nauczyciela przed atakami? P. Minister musi przyjąć odpowiedzialność, jeżeli atakuje się nauczycieli, choćby na terenie pozaszkolnym. Rozumiem, że religia jest czynnikiem bardzo ważnym, zwłaszcza na terenach wschodnich, gdzie ma ona zadania nawet polityczne. Ale przedstawiciele religii na tamtych terenach nieraz stają się wyrazem zupełnie jednostronnego podchodzenia do zagadnień. Nie mam nic przeciw temu, aby ksiądz walczył o duszę dziecka przez wpajanie mu zasad religii, ale nie przez wpajanie zasad politycznych, które są tylko wyrazem dążeń niektórych obywateli. Zawsze znajdą się inni obywatele w Polsce, którzy pod tym względem będą się różnili.

Nie wolno na terenie szkoły powszechnej nikomu obcemu zakładać organizacji nawet pożytecznych, a tymczasem pewnym czynnikom wolno zakładać organizacje nawet bez wiedzy kierownika szkoły. Jeżeli nauczyciel w takim razie wykonuje przepisy ustawy, to staje się celem ataków i nikt go nie bierze w obronę.

Następnie chciałbym poruszyć sprawę Związku Nauczycieli. Choćby nawet był popełniony jakiś błąd, to jednak nie może to przekreślać zasług organizacji, która ma za sobą długi szereg lat chlubnej pracy. Widzieliśmy tych ludzi w pierwszych szeregach walki o niepodległość. Słyszałem głosy nawet ze sfer wojskowych gdy mowa była o oddaniu sprawy dokształcania przedpoborowych temu Związkowi, że przecież to jest „bolszewicka instytucja". Czyż wychowanie milionów naszych dzieci znajduje się naprawdę w rękach bolszewików? Te rzeczy trzeba prostować i powinno to uczynić Ministerstwo Oświaty. Wśród masy nauczycielstwa mogą się znaleźć ludzie odmiennych przekonań. Jeżeli się znajdzie choć jeden komunista, to go należy wytępić. Ale jeżeli ich nie ma, to trzeba ludzi, którzy stawiają taki zarzut, pociągnąć do odpowiedzialności, a jeżeli działają w dobrej wierze, to trzeba tę rzecz wyjaśnić.

Obowiązek prowadzenia oświaty pozaszkolnej ma Państwo. Jakże się to przedstawia w naszym preliminarzu? 200 tys. zł. i drugie tyle z takcy administracyjnej. To wszystko. Istnieje obawa, że będzie się powiększał w Polsce analfabetyzm. Nad tą sprawą nie możemy przechodzić do porządku. Na to muszą się znaleźć pieniądze tak samo jak na budowę szkół. Jeżeli nie da się tych środków znaleźć w tym resorcie, to poszukamy gdzieś po innych resortach, ale chcemy mieć pewność, że to pójdzie właśnie na te cele a nie na inne, choćby także bardzo potrzebne.

Jeszcze chciałbym powiedzieć kilka słów o naszej młodzieży w zakładach średnich i wyższych. Nie dziwię się nigdy temu, jeżeli młode pokolenie różni się w swych poglądach od pokolenia starszego. Jest to zjawisko normalne. Ale, kiedy my, będąc młodymi, robiliśmy o coś wojnę, to było to jakieś wielkie zagadnienie. Nie było między nami tego rodzaju problemów, żeby siedzieć na takiej czy innej ławce, w sąsiedztwie takiego czy innego człowieka. I nie podnoszono tego do rzędu wielkiego zagadnienia narodowego. Mam duże obawy co do stanowiska, jakie zajmują niektórzy koledzy nasi w tej komisji w odniesieniu do tych spraw. Kadzenie młodzieży w tego rodzaju sprawach jest z naszej strony dawaniem złego przykładu.

Przyłączam się do tego, co mówił p. Kozłowski o braku specjalizacji w naszych wyższych czy średnich szkołach rolniczych. Trudno w Polsce o młodych ludzi przygotowanych do jakiegokolwiek konkretnego zadania rolniczego. Dlatego przyjmuję z zadowoleniem odpowiedź p. Ministra w sprawie przestawienia naszych szkół w kierunku większego zbliżenia ich do życia.

Rolnictwo

(Z przemówienia posła Cz. Dębickiego).

Niezmiernie dużo uwagi w dniu wczorajszym poświęcił Pan Minister głębokiej ocenie dróg rozwojowych rolnictwa polskiego.

Cieszę się bardzo, że Pan Minister rozpoczął swoje przemówienie od stwierdzenia, a potem powtórnie ten punkt widzenia wzmocnił swym drugim przemówieniem, że Polska stoi niezłomnie na stanowisku indywidualnego warsztatu rolnego.

W moim głębokim przeświadczeniu jest to podstawowa zasada, z której nam nigdy zejść nie wolno, bowiem nic tak nie jest czułe **i reagujące ujemnie na wspólność władania, jak ziemia.**

Pan poseł Kozłowski stawia pytanie do czego mamy iść, wisząc z tym pytaniem między 17-to hektarowym gospodarstwem niemieckim a kołchozem rosyjskim. Sądzę, że sprawa jasno jest postawiona w ujęciu Pana Ministra Poniatowskiego, na które całkowicie się piszę; **kołchoz czy sowchoz są raz na zawsze z polskich koncepcji agrarnych wykreślone.**

I dobrze będzie, jeżeli z naszych dyskusji te dwa słowa na zawsze wykreślimy.

Lecz rzeczywistość polska nie pozwala nam mówić również o doprowadzeniu struktury agrarnej Polski do stanu gospodarstwa kmiecego, bo nawet najbardziej radykalnie pomyślana reforma rolna nie jest w stanie zbliżyć nas do przeciętnego ideału gospodarstwa 20-sto hektarowego. Ma wielką rację pan poseł Hyla, że miliony ludzi w Polsce marzy o tym 6—7-mio hektarowym gospodarstwie, błędem więc byłoby nakreślanie zbyt wysokiej dalszej granicy obszaru działki ziemi przy tworzeniu nowych warsztatów rolnych. Równocześnie jednak przy zbyt niskiej granicy kapitał budowlany legnie nadmiernie wielkim ciężarem na 1 ha ziemi produkcyjnej. W fakcie tym widzę rozwiązanie przyczyny, dlaczego małe gospodarstwo, zabudowywane stopniowo w ciągu lat często kilkunastu, daje jeszcze możność wegetowania rodzinie, gdy tymczasem małe gospodarstwo kolonisty przez długie lata walczyć musi z wielkimi trudnościami.

Dlatego też twierdzę, że lepiej jest niedobudowywać nowopowstałych gospodarstw, niż je drogo przeinwestować.

Chciałbym również dać wyraz zaniepokojeniu, że w praktyce nie są należycie respektowane punkty b) i c) art. 53 ustawy i dlatego apeluję do Pana Ministra, by przy zatwierdzaniu wszelkiej parcelacji była specjalnie zwrócona uwaga na realizowanie tych punktów. Widzę potrzebę rozszerzenia i bardziej szczegółowego ustawowego rozwinięcia również art. 72 i 73 i 74. Rolnik, były żołnierz z okresu walk o niepodległość, nie może iść w ogonku kolejności do własnego warsztatu rolnego i musi mieć przez Państwo szybko wyrównaną różnicę tych 17-tu lat.

Zagadnienie to ma tyle podstaw moralnych, że sądzę, iż znajdzie ono należytą realizację. Do sprawy tej jeszcze raz powrócę.

Przechodząc do oceny spraw komasacyjnych, jako jednego ze środków upełnorolnienia, chcę stwierdzić raz jeszcze, że one tylko częściowo zagadnienie upełnorolnienia rozwiązują. Jeżeli wezmę za przykład województwo nowogródzkie, to 18% warsztatów rolnych znajduje się w granicy poniżej 2 ha ziemi. Nie są to więc właściwie warsztaty a kolonie niedojadających bezrobotnych.

Dla tego typu gospodarstw żadne ustawy o niepodzielności już są niepotrzebne. Natomiast część rodzin z tych gospodarstw musi znaleźć zatrudnienie poza swoim warsztatem. Jeżeli zaś chodzi o grupę gospodarstw ponad 2 ha, to uważam za nieodzowne i konieczne, jako jeden ze środków zapobieżenia dalszemu rozdrabnianiu, restytucję dziś zniesionego prawa zwyczajowego, t. zw. wyposażania córek i sióstr. Sprawę tę właściwie należało poruszyć przy Min. Sprawiedliwości, jednak nie jest ona obojętna i dla Min. Rolnictwa. Świadomość naszych możliwości finansowych nie pozwala mi zachwycać się bezkrytycznie sprawą ustawy o niepodzielności, jak to czyni grupa posłów półrolników. I zupełnie zgadzam się z Panem Ministrem, że ustawa taka mogłaby objąć tylko pewne kategorie gospodarstw. Wolę realne załatwienie części tego zagadnienia niż teoretyczne — **bez widoków realizacji** — całości.

Idę za tezą Pana Ministra, że fakt pomniejszania wartości gospodarstwa nie może nie powodować obniżenia poziomu życia wsi i gdy do tego dopuścimy, zrezygnujemy z przyszłości Polski.

Stwierdzam, że środki, jakimi oddziaływujemy na podniesienie poziomu gospodarczego i kulturalnego wsi, są wciąż za małe. I jeżeli chcemy szybkich osiągnięć, musimy je zwiększyć.

Uważam za nieodzowne ustawowe unormowanie stałego procentowego udziału Okręgowych Towarzystw Rolniczych w podatkach samorządowych.

Ogólnie znany, nie wymagający bliższych komentarzy, jest poziom kultury rolnej najbiedniejszych województw kresowych, Wilna, Nowogródka, Polesia. Są tam do odrobienia olbrzymie zaległości, gdyż bieda tych terenów nie tylko w warunkach klimatyczno - glebowych ma swoje źródło. Zachodzi tam potrzeba dużego nasilenia pracy i skierowania większych świadczeń ze strony Ministerstwa. Środki miejscowe nie wystarczą, są one najniższe ze wszystkich terenów. Mówią o tym liczby, dotyczące wpływów na rzecz izb rolniczych na terenie poszczególnych województw.

Izba Rolnicza	Wpływy na rzecz Izb Rolniczych z podat. w stos. do 100 km^2 powierzchni og.
Białostocka	9,21 gr
Kielecka	17,48 ,,
Krakowska	15,69 ,,
Lubelska	14,94 ,,
Lwowska	13,56 ,,
Łódzka	22,59 ,,
Poleska	4,74 ,,
Wołyńska	11,23 ,,
Wileńska	5,66 ,,
Warszawska	20,12 ,,

Cyfry te ilustrują stan rzeczy, a potrzeby są niewspółmiernie wielkie. Wiem, o w tym skąpym budżecie trudno jest coś wynaleźć, trudno jest te drobne sumy dzielić. Niemniej jednak uważam, że nawet w tych skromnych ramach można i należy skierować wszystkie rozporządzalne środki i nasilić pracę na tych terenach, na których podciąganie rolnictwa Polski B do poziomu Polski A jest dopiero w zaczątku.

Między wykresami, które oglądaliśmy tu wczoraj, zwrócił moją uwagę wykres porównawczy wyrębu i zalesienia lasów prywatnych. Gdy zestawiam ten wykres z wykresem wyrębu i ulesienim lasów państwowych, to widzę tu dużą rozbieżność. Gdy w lasach państwowych przestrzeń zalesiona stale jest większa od przestrzeni wyrębów, to w lasach prywatnych stan rzeczy jest odwrotny. Wobec tego, że przestrzeń rębna tych lasów jest b. duża, żywię poważne obawy o ciągłość ochrony lasów. Troska o to nakazuje mi zwrócić się do Pana Ministra z zapytaniem, jakie zarządzenia zamierza wydać Ministerstwo, by zapobiec tworzącej się luce w lesistości kraju.

Marjan Trzciński

Przemiany ideologiczno-organizacyjne wśród emigracji polskiej we Francji

Nie jest nam w kraju obojętny los Polonii Zagranicznej. Żywo i szczerze interesujemy się tym wszystkim, co dotyczy warunków życia Polaków w całym świecie.

Coraz silniej odczuwamy potrzebę związania naszych odprysków polskich z macierzą, coraz więcej czynimy wysiłków, aby zespolić polską wspólnotę narodową całego świata. Obserwując rozwój przemian ideologicznych, jakie dokonywują się na świecie, nie możemy pominąć w obserwacji i przemian w strukturze polskich środowisk wychodźczych.

Ostatnio bardzo ciekawe prądy nurtują wśród naszej emigracji we Francji. I choć żywość tych prądów wywołana została czynnikiem zewnętrznym politycznym (dojście do władzy Frontu Ludowego — olbrzymie wzmocnienie w sprawach zawodowych Generalnej Konfederacji Pracy), to jednakże liczyć się należy z tym, że przemiany ideologiczne (wejście masowe robotników polskich w orbitę Konfederacji Pracy i zapłodnienie się jej ideologią), — będą miały decydujące znaczenie dla kształtowania się struktury i świadomości naszego wychodztwa we Francji.

Zanim poświęcimy dalsze rozważania omawianemu zagadnieniu, zapoznajmy się szczegółowiej z uwagami na temat ideowego życia w organizacjach polskich, podaje to listopadowy numer „Siły", organu Związku Robotników Polskich we Francji.

„Należy bezstronnie i szczerze stwierdzić, że w polskim życiu organizacyjnym we Francji zaczyna się psuć. Rozbudowaliśmy organizacje, stworzyliśmy formy organizacyjne, lecz nie zdołaliśmy wlać w te formy głębokiej treści i nie potrafiliśmy nadać organizacjom rozpędu ideologicznego.

Zebrania towarzystw polskich nie zawsze wzmacniają ludzi na duchu.

Nie zdołaliśmy doprowadzić do tego, aby karta członkowska towarzystwa katolickiego była świadectwem moralności i etyki kościoła katolickiego dla człowieka, a książeczka członkowska organizacji polskiej narodowej by świadczyła o cnotach obywatelskich i narodowych tego, kto ją posiada.

Różne zrzeszenia komunistyczne powstają w koloniach i co jest w tym najgorsze, że często ludzie z naszych organizacji tam należą, nie występując od nas i uważając, że wszystko jest w porządku.

Komunistyczny tygodnik rozchodzi się w koloniach, roznoszą go czasami starcy, otrzymujący zasiłek ze skarbu Państwa Polskiego, a czasami ludzie z naszych organizacji, nawet spotyka się wśród naszych działaczy i takich, którzy dają po 25 fr., by być założycielami polskiego pisma komunistycznego. Wszelkie zbiórki na komunistów w Hiszpanii oraz na czerwoną pomoc są popierane przez robotników polskich, niektórzy opodatkowują się nawet po półdniówki. W jednej kolonii według stwierdzenia Komitetu Towarzystw Miejscowych, Polacy złożyli agitatorom komunistycznym około 3 tys. franków, a o książki do biblioteki zwrócili się do Rady Porozumiewawczej, motywując tym, że kolonia jest bardzo biedna...

Są nawet tacy, którzy składając ofiary na Fundusz Obrony Narodowej, proszą, aby nie podawać ich nazwisk w prasie, bo boją się „czerwonych".

Czemu przypisywać tę bojaźń, tę bierność i tę obojętność? Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele. Wymieńmy chociaż najważniejsze:

1) wpływ miejscowych czynników na życie polskie,

2) niezałatwiona sprawa rent gwareckich z Niemiec i wreszcie

3) — specjalne nastawienie umysłowe, wpajane wychodztwu przez niektóre dzienniki polskie, przedstawiające emigranta, jako męczennika własnej Ojczyzny, która nie tylko się go pozbyła, ale jeszcze nie uregulowała mu rent starości".

Dalej autor artykułu omawia ujemne strony obozu narodowego. Należałoby tu raczej użyć silniejszego określenia — **endeckiego** — gdyż stan dzisiejszy emigracji jest w dużej mierze **wytworem polityki endeckiej wśród wychodztwa.** Endecja jeszcze do dziś zachowała tam poważne wpływy, oddziaływujące ujemnie na przywiązanie emigranta do państwa polskiego.

Jako ujemne strony w obozie narodowym autor podaje:

1) „brak głębokiej treści duchowej, brak rozmachu ideowego, brak umiłowania swych organizacji przez członków, brak zaufania do swych przywódców i brak spoistości między towarzystwami w koloniach i wreszcie często brak dyscypliny organizacyjnej,

2) dziwna i niczym nie umotywowana niechęć do władz polskich — dziwna dlatego, że każdy emigrant w biedzie zwraca się do Konsulatu, a gdy mu się dobrze wiedzie, to z niechęcią odnosi się do polskiej placówki państwowej i nawet traci zaufanie do swego przywódcy, o ile ten utrzymuje częsty kontakt z władzami polskimi,

3) przesadna dobroduszność i tolerancja zarządów towarzystw w stosunku do członków — wywrotowców, którzy na zebraniach stale wszystko krytykują, obrażają naczelne władze swego związku, są równocześnie członkami w organizacjach komunistycznych, albo propagują gazety komunistyczne i nie wyklucza się ich z naszego obozu.

Oczywiście te wszystkie braki, pisze dalej pan Kalinowski, — są tylko częściową winą nas samych: — drugą część winy ponoszą bezsprzecznie te dzienniki polskie, które mimo haseł narodowych posługują się tanią demagogią w pogoni za czytelnikami, podrywając zaufanie wychodztwa do władz polskich i do czołowych przywódców, aby móc łowić ryby w mętnej wodzie".

Omówiwszy wreszcie całokształt sytuacji organizacyjnej wychodźtwa polskiego, p. Kalinowski stwierdza w zakończeniu: „nie tworzyć obozów w naszym obozie, nie nadawać naszym organizacjom charakteru zbyt sztandarowego; wszystkie związki należące do Rady Porozumiewawczej są pożyteczne i **wszystkie opierają się na zasadach narodowych i katolickich, a więc wszystkie powinny iść razem".**

„Wytwórzmy świadomy polski element narodowy, związany z Krajem i kochający Ojczyznę".

Operujmy jak najmniej określeniem „państwowy" — zamieńmy ten przymiotnik we wszystkich wypadkach, na „narodowy" w znaczeniu Narodu — Państwa — Polski".

Tyle „Siła" organ Związku Robotników Polskich we Francji.

Tylko ktoś bardzo powierzchownie myślący może sądzić, że stan omówiony przez „Siłę" powstał z dnia na dzień, że nie jest on wytworem wielu lat, i dłuższej a błędnej polityki emigracyjnej. Przygotowanie tej mentalności wśród robotników i tego wewnętrznego rozgardiaszu bierze swoje początki od zarania naszej emigracji we Francji. Dziś zbieramy tylko owoce fatalnej ówczesnej polityki.

Wychodztwo nie miało nigdy szczęścia, by zaznać w długim okresie czasu ze strony kraju dobrej i przewidzianej na dłuższą metę polityki emigracyjnej we Francji. Jak to nie dawno stwierdził poseł Żeligowski w odniesieniu do Rządu, wykazując, że każdy z Rządów rozpoczynał niejako prace na nowo, zmieniając rozpoczęte prace poprzednika, tak i na wychodztwie francuskim było kubek w kubek to samo. Każdy radca emigracyjny (a zmieniali się oni dość często) rozpoczynał prace w odniesieniu do organizacji polskich nie od kontynuowania dotychczasowych prac swego poprzednika, lecz uważał sobie za święty obowiązek właśnie odżegnać się mniej lub więcej jawnie od tego, co robił jego poprzednik.

Stąd to właśnie pochodzi, że zastosowane metody oddziaływania na organizacje wychodźcze nie miały, bo mieć nie mogły, na dłuższą metę znaczenia wychowawczego. Nie utrwalały one przeświadczenia o stałości pewnych zasad stosunku kraju do emigracji francuskiej. Przeciwnie — metody zmienne, szybko wytworzyły przekonanie, że zabiegi kierowników polityki emigracyjnej są chwilowe i zostaną niebawem zmienione wraz ze zmianą osoby kierownika. A problemy z punktu widzenia narodowego nie były błahe.

Stosunek do organizacji zawodowych francuskich, a za tym do potrzeb materialnych robotnika polskiego, często był regulowany, zwłaszcza w początkach, w ten sposób, że odsuwał naszego robotnika od Konfederacji Generalnej Pracy. Stosunek do zagadnienia przyjmowania obywatelstwa przez robotników polskich był raczej romantyczny, sentymentalny, uważający ich za popełniających zdradę narodową przez fakt przyjęcia obywatelstwa francuskiego.

W związku z tym stosunek naszej polityki emigracyjnej do szkolnictwa polskiego również nie był jednolity i często hamował jego rozwój.

Gdy się to, co dotychczas zostało powiedziane, przeniesie na grunt polski i uwzględni się jeszcze specjalne cechy naszego pokolenia, a więc i pokolenia starszego na emigracji, to obraz będzie pełny: Cechy te: to niechętny stosunek do swego państwa jako wynik stosunku tradycyjnego do państwa zaborczego. Wytworzył się specjalny stosunek emigranta, oczekującego, by właśnie Polska, nie mogąc go przyjąć do siebie, wszystkie jego troski i łzy otarła. Dalej, dość długo podtrzymywane przez placówki wyczekiwanie, że niebawem emigracja powróci do kraju, a w związku z tym nie pionierska a pasywna postawa wobec warunków życia we Francji. Bardzo wyraźna tendencja do uczynienia z organizacji wychodźczych obramowania dla osobistych splendorów, corocznie niemal zmieniających się kierowników placówek.

Wszystko to, łącznie z brakiem wyraźnej i jednolicie konsekwetnej polityki emigracyjnej, spowodowało ten stan chaosu, jaki od dawna znamionował życie wychodztwa polskiego we Francji. Zamieszanie to powiększało się jeszcze przez specjalne nasze przywary jak: dążność do powierzchowności w robocie, której wyrazem były za wszelką cenę tworzone organizacje zbyt liczne, aby mogły solidnie pracować; z czasem druga ostateczność — tendencja do zbyt mechanistycznego łączenia uprzednio rozproszonego elementu.

Zbyt duża pochopność do tworzenia „bluszczu" (wskutek zresztą wyraźnych oddziaływań w tym kierunku) dookoła emigracyjnego tronu radcy emigracyjnego czy konsulów w okręgach poszczególnych. Słowem początkowe nasze działania nie sprzyjały powstawaniu pracy o długiej fali.

To wszystko wywoływało niechęć dość znacznego odłamu wychodztwa, który nie chcąc się podporządkować, często protokularnym pretensjom, stronił od współpracy z placówkami i przygotowywał grunt do szerzenia się nowych haseł i nowych idei organizacyjnych na wychodztwie francuskim.

Tym się tłumaczy powodzenie tych wszystkich czynników, które na tej niechęci wygrywały swoje melodie, tym się też tłumaczy rozwój ich organizacyj i obejmowanie coraz szerszych kręgów przez swoje wpływy w koloniach robotniczych.

Kryzys i trudności finansowe zostały nas nie przygotwanymi i mało odpornymi, oraz bez wszelkiej busoli. Dlatego też dojście do władzy Frontu Ludowego we Francji wywołało wśród emigracji polskiej duże zadowolenie a nawet radość, której wyrazem było przejście masowe całego obozu skupiającego się w Związku Robotników Polskich we Francji, dotychczas niechętnego Generalnej Konfederacji Pracy, do szeregów tej organizacji.

W ciągu prawie 2 tygodni Związek Robotników Polskich, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znalazł się w szeregach Generalnej Konfederacji Pracy.

To, czemu niepotrzebnie zgoła i napróżno przez szereg lat usiłowali przeszkodzić nasi domorośli politycy, bardzo eksponowani wśród organizacji polskich, to stało się faktem pod naporem życia, tego najbardziej zdecydowanego rozkazodawcy.

Ale czy z faktów wyciągnięto dostateczne nauki. Zdaniem naszym nie.

Po prostu nic naszych kierowników przebieg procesów organizacyjnych i ideologicznych nie nauczył, bo oto nadal usiłują trwać na zajętych pozycjach. Uważa się, że najwłaściwszą drogą jest przetrwanie, by na nowo próbować się odegrać.

I pracę bezpłodną niepotrzebną w tym kierunku się prowadzi. Nasza polityka emigracyjna we Francji dzieli nadal wychodztwo na dwa odłamy, powodując swoją niezręcznością i swoją stronniczością, oraz uporem bezdusznym, odsuwanie się (po przejściu prawie wszystkich zorganizowanych robotników polskich do francuskiej C. G. T.) od placówek polskich. W konsekwencji tych błędów, legalizuje się również odsunięcie się duchowe robotników od kraju macierzystego, co w danym wypadku jest prostą konsekwencją zasadniczego stanowiska naszej polityki emigracyjnej.

Poza tym, opierając się w swych założeniach na nielicznym i mało ruchliwym demencie starszym, skostniałym organizacyjnie i kończącym swoją rolę we Francji, odsuwa ta polityka od siebie elementy młode, ruchliwe, zdolne organizacyjnie do przystosowania się do nowej rzeczywistości. Tym się tłumaczy, że w orbicie wpływów polskich (niesłusznie uważa się jeszcze, że w orbicie wpływów obcych są polscy sekretowcy) znajduje się bardzo dużo ludzi starszych, nieprzydatnych już organizacyjnie do dzisiejszego dynamicznego życia. Tu jest powód tej rozpaczy, jaką objawia sekretarz generalny Związku Robotników przez stwierdzenie, że członkowie jego obozu są mało odważni i zdecydowani, że nie przeciwstawiają się hasłom i robocie wywrotowców. Zdaniem naszym żadne apele do odwagi tutaj nie pomogą, gdyż ekipa nieprzydatna jest do ataku, jest po prostu za stara, gdyż młodzież przeszła już dawno na drugą stronę barykady.

Stan ten, który naszkicowany został na podstawie znamiennego artykułu organu Związku Robotników we Francji, a za który to stan w pierwszej mierze odpowiedzialni są ci, którzy wytyczne dla naszej polityki emigracyjnej we Francji układają, musiałby ulec zmianie, gdyż inaczej grozi nam zupełna izolacja cienkiej warstwy wpływów polskich wśród emigrantów.

Mieczysław Milbrandt

Niebezpieczeństwo teorii naukowych

Prawda jest imperialistyczna i zaborcza; wszystko, co nosi jej piętno rzeczywiste lub pozorne, posiada energię przetwarzania. Teoria stworzona w jakiejś dziedzinie wiedzy, o ile jest ogólna, promieniuje na całość poznania w danym momencie, determinuje zasadnicze zręby światopoglądów ludzi tego okresu.

Siła prawdy jest funkcją zakresu, którego dotyczy, i czasu. Badania nad teorią mnogości nie mają bezpośredniego wpływu na całość wiedzy, na zmianę postawy człowieka wobec rzeczywistości. Aby teoria, uważana za prawdziwą, miała siłę przetwórczą, musi dotyczyć zagadnień ogólnych w tym sensie, że zagadnienie ogólne w swoich rozwiązaniach zmienia zasadniczo stanowisko człowieka w świecie. Systemy filozoficzne dominowały w okresach swego panowania nad całością funkcji życiowych: sztuką, wiedzą i dziedzinami praktycznymi.

Siła przetwórcza prawdy jest funkcją czasu. W miarę rozwoju zmienia się stanowisko doktryny w swoich początkach uznanej za prawdziwą; traci ona wartość absolutną, zostaje zrelatywizowana, ograniczona. Prowadzi to za sobą zmianę nasilenia emocjonalnego. Zarówno twórcy nowej teorii, jak i ich bezpośredni epigoni, są fanatykami; drudzy czasem więcej niż pierwsi. Dla obrony tego, co uważają za prawdę, gotowi są ponieść ofiary. Siła emocjonalna jednak słabnie. Teoria wchodzi do inwentarza zdobyczy, przestaje pasjonować. W czasach Kopernika wielu ludzi poniosłoby ofiary na dowód prawdziwości teorii heliometrycznej; dzisiaj, pomijając nowe jej stanowisko w systemie wiedzy, straciła swą siłę uczuciową.

Może po raz pierwszy w dziejach w. XX metoda terapii stała się doktryną o dużym zasięgu promieniowania, daleko poza medycyną; zyskała popularność bardziej nawet wśród laików niż specjalistów.

W genezie popularności freudyzmu — bo o niego tu chodzi — trzeba, między innymi, zwrócić uwagę na ten czynnik, o którego doniosłości wiedziano. Sugestia trafności spostrzeżenia sprawiła, że nie zwrócono uwagi na nadmierne przecenienie tego elementu, a nawet przesunięcie jego wartości; przeszedł on z miejsca peryferycznego na centralne. Stał się osią osobowości, a więc wszystkich jej funkcji życiowych.

Jak każda teoria o doniośliejszym znaczeniu, niezgodna z oficjalnymi poglądami, przeżył freudyzm okres bezkrytycznego potępienia, po nim zaś nastąpił czas równie bezkrytycznego aplauzu. Został przyjęty przez ogół jako środek rozwiązania wielu zagadnień. Z metody leczenia stał się nagle ważnym przyczynkiem do estetyki, etyki, religijności. Wszystko, co można było podciągnąć pod formuły psychoanalizy, stało się nagle jasne i proste. Wystarczyło na miejsce nieznanego punktu podstawić ogólny klucz — libido. I tak — sztuka jest sublimacją libido, religia ma również za podstawę uwznioślenie tego popędu, który od dzieciństwa do starości prowadzi nas i przemożnie nami kieruje. Jest silniejszy od osobowości społecznej, stworzonej przez wychowanie i życie grupowe. Wywołuje zaburzenia, jeżeli napotyka na opór; jest czynnikiem dynamicznym i przemożnym.

Na tle tego ciekawie wygląda zdanie sformułowane przez de la Vaissiere'a w książce p. t. „Teoria psychoanalizy Freuda". Autor, nastawiony z przychylnym krytycyzmem dla freudyzmu, mówi w rozdziale, poświęconym charakterystyce teorii psychologicznej, o trzech cechach takiej teorii. Powinna ona być czysto psychologiczna; tak ogólna, aby objęła wszystkie zjawiska psychologiczne i w końcu trzeci warunek — najciekawszy: o ile poglądy psychologiczne ogółu nie są w sprzeczności z prawami i faktami naukowymi, nie należy przyjmować koncepcji teoretycznej, która by je mogła zburzyć.

Uzasadnia to autor przekonywująco. Ogólnie uważa się za wskazane przyjmowanie jako hipotez pewnych uogólnień, których prawdziwość jest wątpliwa. Dotyczyć to może jednak teorii niepsychologicznej. Wodór i siarka dadzą ten sam związek, niezależnie od sposobu tłumaczenia; uogólnienie nie zmieni tu rzeczywistości. Teorie psychologiczne mają za przedmiot psychikę ludzką, która może ulec przemianom. Jest wtedy nie odbiciem rzeczywistości, ale elementem konstrukcyjnym. „Jeżeli poza tym zmienia ona rzeczywistość, która jest jej przedmiotem, przestaje być po prostu teorią i staje się zamachem na dziedzinę psychologii, rodzajem sekciarskiego dogmatyzmu, który prowadzi nie do poznania jedynie, ale do konstruowania w mniejszym lub większym stopniu życia wewnętrznego, tracąc w ten sposób charakter całkowitej niezależności, jakie by mogła zachować prawo do tworzenia nauki"7 (str. 112).

Punkt ten, aczkolwiek uzasadniony bardzo sugestywnie, nasuwa pewne uwagi. Jest to ostrzeżenie, aby nie przyjmować takiej teorii, która by sprzeciwiała się poglądom ogółu, jeśli te poglądy nie są w sprzeczności z faktami i prawami naukowymi. Brane stricto sensu ostrzeżenie to wydaje się albo zbyteczne, albo za bardzo ostrożne. Każda teoria musi przecież opierać się na faktach i być zweryfikowana. Jeżeli zatem jakaś koncepcja stoi w sprzeczności z poglądami ogółu, to poglądy te przeciwstawiają się pewnym faktom. Uwaga zatem może jedynie zawierać ostrzeżenie przed przyjmowaniem naukowych uogólnień, zawieszonych w próżni; jest to, wydaje się, obawa trochę przesadna.

De la Vaissiere mówi, że teoria psychologiczna może konstruować w mniejszym lub większym stopniu życie wewnętrzne. Można postawić pytanie, w jakim stopniu? Błędem byłoby sądzić na podstawie trzeciej cechy teorii psychologicznej, że teoria taka, zmieniając rzeczywistość, może być z początków fałszywa, ale dzięki formowaniu życia wewnętrznego, staje się prawdziwa. Taka interpretacja może powstać, jako skutek sugestii uwag de la Vaissiere'a. Pogląd ten jest jednak nie do utrzymania.

Nauka może wtedy tylko formułować prawo i tworzyć teorie, jeżeli dziedziną jej badania jest sfera zjawisk, mająca pewną niezmienną prawidłowość.

Tylko pod tym warunkiem ma sens prawo naukowe. Jeżeli zatem tworzy się pewne teorie, dotyczące psychiki człowieka, t. zn., że psychika ta ma niezmienne założenia i chodzi o ich wykrycie. W przeciwnym wypadku można by tylko mówić o wzorach, do których trzeba dążyć w konstruowaniu życia wewnętrznego, nie zaś o prawach, jak nie można mówić o prawach rozkładu jazdy pociągów. Albo więc budowanie teorii psychologicznych nie ma sensu, albo też żadne teorie nie zmienią tak psychiki, aby stać się prawdziwe, chociaż takimi nie są. Teoria typu freudyzmu może jednak zaciążyć nad życiem umysłowym. De la Vaissiere cytuje pozytywistę włoskiego Morselli'ego, który mówi: „Wpływ ten nie ogranicza się tylko do psychologów, produkcja psychoanalityczna zalała biblioteki, czytelnie, pisma codzienne, teatr, w Szwajcarii, w Niemczech, w krajach anglosaskich, a szczególnie w Rosji sowieckiej".

Dzięki takiej popularności freudyzm oddziałał wyraźnie na konstruowanie koncepcji życiowych. Wpływ jego może być w wielu dziedzinach ujemny.

Ale niebezpieczeństwo takie grozi nie tylko ze strony teorii psychologicznych. Każda teoria, o ile jest dostatecznie ogólna, oddziaływuje na życie umysłowe, na stosunki społeczne i sprawy etyki. Wpływ jej może być dodatni lub ujemny. Niebezpieczeństwo jest tym większe, że to, co dla uczonego jest teorią, jest czasem dogmatem dla laika. A przecież nie tylko teorie psychologiczne mówią o psychice. W krzywym zwierciadle ogółu hipoteza zamienia się w niewzruszoną prawdę; staje się monetą obiegową o niezaprzeczalnej wartości. O tym niebezpieczeństwie nie można zapominać.

ZAGADNIENIA

Kazimierz Podgórski

O reformę uniwersyteckich studiów prawnych

Głównym zadaniem wyższej uczelni jest dać studentowi odpowiedni zakres wiedzy fachowej i przygotować go do wykonywania przyszłego zawodu. Wymaga to specjalizacji, tym konsekwentniejszej, im bardziej określony jest kierunek studiów. Dotyczy to przede wszystkim politechniki, szkół handlowych, agronomicznych i leśnych, wreszcie pewnych wydziałów uniwersytetów, jak np. wydział lekarski i t. p. Student, wstępujący na wydział lekarski, poznaje na początku podstawy wspólne wszystkim naukom medycznym, potem specjalizuje się w pewnej obranej przez siebie dziedzinie wiedzy i zostaje dobrze znającym swój zawód lekarzem - chirurgiem czy internistą. Przez dalszą specjalizację staje się wreszcie autorytetem w jeszcze bardziej zacieśnionej dziedzinie, a więc np. chirurgii nagłych wypadków, w chorobach jamy brzusznej etc. W ten sposób uzyskuje on stanowisko w swym zawodzie, a co za tym idzie określa sobie i umacnia własną pozycję w społeczeństwie.

Podobnie sprawa przedstawia się na politechnice. Wprawdzie inżynier-mechanik, to pojęcie równie ogólne, jak doktór wszechnauk lekarskich, jednak prowadzi ono do dalszej specjalizacji praktycznej i samo jest już wyrazem pewnej określonej fachowości. Zamiast ilustracji taki autentyczny obrazek: Na małą podmiejską stacyjkę wpada z hukiem pociąg pośpieszny. Z okienka parowozu wychyla się młody człowiek o inteligentnej, osmalonej twarzy, ubrany w niebieską bluzę roboczą; na głowie — czapka studencka Politechniki Warszawskiej. Pociąg przemknął z głuchym dudnieniem po szynach. Został po nim tylko zapach dymu i — refleksje. Ten dwudziestoparoletni chłopiec ma w swym ręku kilkaset ludzkich istnień, lecz przede wszystkim ma praktyczny związek swych studiów z określoną pracą. Będzie on w przyszłości inżynierem fachowcem. Człowiek - symbol praktycznego i pełnego realizmu kierunku studiów.

Dobrze pojętą pracę naukową na każdym z wydziałów wyższych uczelni powinno się upodobnić do drzewa: korzenie — to wykształcenie średnie, pień — to wspólne podstawy dla danej dziedziny wiedzy, konary, gałązki i liście — to coraz dalej rozwijająca się specjalizacja.

Niestety, nie wszystkie wydziały tak traktują swą pracę, a już wprost przeciwnie dzieje się na wydziałach prawnych, gdzie system studiów jest specjalnie wadliwy, a reforma jego jest nie tylko postulatem, lecz raczej kategorycznym nakazem dnia.

Zagadnienie to nie po raz pierwszy wypływa na forum publiczne, ma ono już za sobą sążniste artykuły tak w prasie codziennej, jak i zawodowej. W swoim czasie było też przedmiotem szczególnego zainteresowania Ministerstwa W. R. i O. P., — niestety jednak, jak dotąd bez poważniejszych następstw praktycznych. W ostatnim czasie sprawa została ponownie i poważnie zaktualizowana.

Obecny system studiów prawnych ma tyle poważnych wad, że nie sposób wprost wszystkich wyliczyć i omówić. Zacznijmy od tych najpowierzchowniejszych.

Studenci prawa — to w przeważającej liczbie ci nieszczęśliwcy, którzy nie zdołali dostać się na inne wydziały, albo ludzie bez określonych uzdolnień i zamiłowań, którzy na prawo trafili zupełnie przypadkowo, lub też odkładając na później właściwą decyzję co do kierunku swej pracy i swych dążeń życiowych, wreszcie ci, o których decyzji przesądziło powszechnie panujące przekonanie, że jest to wydział najłatwiejszy do skończenia, a studiować na nim można in absentia, mając przy tym stałą posadkę w jakimś biurze czy nawet — daj Boże — Ministerstwie. Ludziom tym odpowiada praca, polegająca na opanowaniu pewnej ilości materiału i zdaniu go pod koniec roku, bez poważniejszych ćwiczeń i seminariów, bez faktycznego obowiązku uczęszczania na wykłady, oparta przede wszystkim na wykuwaniu zawiłych formułek z rojących się od błędów skryptów. Praca ta, oczywiście, nie może mieć w żadnym wypadku pretensji do miana naukowej. Omówione tutaj ogólne wady systemu nie wyczerpują jednak całości obrazu.

Jak wszyscy prawnicy - praktycy stwierdzają, młodzież kończąca wydział prawny bardzo słabo orientuje się w praktycznym zastosowaniu przepisów obowiązującego prawa.

Studium prawne, nastawione zasadniczo na kształcenie prawników - teoretyków, obarcza studentów potężną ilością dat, faktów historycznych, słusznych czy niesłusznych teorii, nie pozwalając na dostateczne praktyczne podejście do przedmiotów prawnych, nawałem materiału historycznego utrudniając należyte opanowanie przepisów prawa pozytywnego. Taki teoretyczno - historyczny kierunek studiów sprawia, że młody magister prawa, przystępując do wykonywania swego zawodu, różni się od swych kolegów z innych wydziałów przede wszystkim tym, że w znacznie większym stopniu sprawia wrażenie dyletanta. Prawnik, ten inżynier społeczny, człowiek, który ma walczyć i innym drogę wskazywać, jest właściwie jednym z tych, którzy do walki nie mają mocnych podstaw, ponieważ ich z uczelni nie wynieśli. Natomiast bez względu na to, jakie funkcje w swym przyszłym zawodzie prawniczym i w życiu społecznym będą sprawowali, — wszyscy absolwenci wydziału prawnego otrzymali na drogę życia ten sam, w praktyce zresztą nie na wiele przydatny, zasób wiadomości teoretycznych.

A przecież zawody prawnicze, choć mają jedną i tę samą wspólną podstawę: prawo, są ogromnie zróżniczkowane i wymagają specjalizacji.

Tę specjalizację musi dać uczelnia, bo jest rzeczą bezsensowną, żeby np. prokurator i urzędnik administracji, choć obaj są prawnikami, zawód swój wykonywali, posługując się jednym i tym samym zasobem wiadomości.

Aby znaleźć wyjście z dotychczasowej niewątpliwie chorobliwej sytuacji *trzeba* — jak powiedział p. min. Grabowski w czasie obrad sejmowej Komisji Budżetowej — *przerzucić punkt ciężkości z przedmiotów historycznych na zapoznawanie się z ustawodawstwem obowiązującym i zagadnieniami społecznymi i gospodarczymi Polski współczesnej, wreszcie wprowadzić w końcowym etapie studiów okres specjalizacji.*

Prócz tego — mówił dalej p. Minister — *trzeba skończyć z fikcją studiów, wprowadzić przymus stałej, systematycznej pracy przez cały ich okres, tak, jak to ma miejsce na politechnice, wydziałach lekarskich i t. d.*

Na tym stanowisku stoi też projekt reformy uniwersyteckich studiów prawnych, wysuwany przez Związek Zrzeszeń Młodych Prawników Rz. P.

W celu załatwienia sprawy specjalizacji proponuje Zw. Zrz. Mł. Prawników R. P. podzielić studium prawne na dwuletnie studium ogólne i trzyletnie — specjalne, podzielone na trzy sekcje: cywilistyczną, kryminologiczną i administracyjną, z wprowadzeniem szeregu nowych przedmiotów, które by zajęły miejsce, uwolnione przez redukcję przedmiotów historycznych. Poza tym należy stworzyć obowiązkowe seminaria i ćwiczenia, które, zbliżając studenta do profesora, pozwoliłyby mu nauczyć się właściwych metod pracy naukowej oraz ułatwiły opanowanie materiału. Jeżeli zaś chodzi o sprawę egzaminów — to powinny być zarówno ustne jak i piśmienne, przy czym studentowi trzeba dać możność zdawania ich w różnym czasie, i powtarzania, nawet kilkakrotnego, a to aby usunąć dzisiejszą rolę przypadku, który nie pozwala profesorowi w krótkiej rozmowie stwierdzić istotnych wiadomości zdającego, i który — według dość zgodnej pod tym względem opinii — odgrywa dzisiaj tak wielką rolę przy każdym egzaminie.

Tak pojęta reforma sprzyjać będzie wyrabianiu prawników wyspecjalizowanych, ludzi, którzy, idąc w życie, będą mieli do swojej pracy silne podstawy, pozwalające oprzeć się na nich w walce o lepsze jutro. Nie będziemy świadkami tak wielu tragicznych nieraz załamań, gdy prawnik - specjalista stanie się człowiekiem, który i w pracy zawodowej i w życiu społecznym łatwiej będzie widział dla siebie odpowiednie miejsce.

Od dzisiejszych absolwentów wyższych uczelni życie wymaga, aby, chcąc utrzymać się na jego powierzchni, mieli właśnie takie realne podstawy, w postaci nie tyle uniwersyteckich dyplomów, ile przez opanowanie odpowiednich gałęzi wiedzy, potrzebnych im przy praktycznym zetknięciu z zagadnieniami życia.

Sztandarowym hasłem ruchu, dążącego do przeprowadzenia gruntownej reformy systemu uniwersyteckich studiów prawniczych, hasłem wykutym w oparciu o zrozumienie naszych stosunków i istotnych potrzeb społecznych powinno być:

Prawnik musi być specjalistą.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

O przyszłość Hiszpanii

(z. d.) Premier pruski Goering wygłosił w czasie pobytu swego we Włoszech przemówienie do kolonii niemieckiej w Rzymie; w tym samym dniu — 17 stycznia — gen. Franco udzielił wywiadu przedstawicielowi Havasa w Salamance. Obaj generałowie mówili o bolszewizmie i walce z nim. Obaj wspominali pogrom bolszewizmu w Niemczech i we Włoszech. Ale jakżeż różne, w niczym do siebie niepodobne, suchy antybolszewickie scharakteryzowane zostały mimowoli w obu enuncjacjach, zmierzających do analogicznego celu.

„Jak ojczyzna nasza przeciwstawia sowieckiej gwieździe promieniejący krzyż swastykę, jako znak n a s z e j w i a r y — mówił Goering — tak we Włoszech wielki człowiek o niewypowiedzianym znaczeniu r o z p o z n a ł g o d z i n ę n i e b e z p i e c z e ń s t w a... Można zabezpieczyć kraj przed armatami i samolotami, ale nie przed niewidoczną trucizną bolszewizmu. Tu nic nie pomogą fortece, samoloty i armie, tu pomaga tylko w i a r a w e w ł a s n y n a r ó d". Słowa te warto nie tylko cytować, ale i podkreślić. Warto przypomnieć przez to, że istotnie nic innego jak wiara w potomków klasycznego narodu rzymskiego, wiara we wszystko, co dali dotychczas cywilizacji Germanie, uchroniła Włochy i Niemcy od bolszewizmu. Ale nie tylko o to. Obok wiary w naród p r z e c i w s t a w i l i Mussolini i Hitler sowieckiej gwieździe n o w e i d e e. Prawda, że Niemcy i Włochy przeciwstawiły również bolszewizmowi pół-średniowieczny teror; niemniej z w a l c z y ł y bolszewizm przede wszystkim mocami ducha, a nie teroru.

Inaczej jest w Hiszpanii. Tutaj grają armaty i padają bomby z samolotów, jako j e d y n y sposób, w jaki gen. Franco potrafił dotychczas walczyć z bolszewizmem. Nie rozpoznał on trafnie, jak Mussolini i Hitler, „godziny niebezpieczeństwa". Trzeba było działać już przed rokiem, kiedy Hiszpania szykowała się do wyborów parlamentarnych, które dały 26 lutego decydujące zwycięstwo żywiołom anarchizującym i komunistycznym. Moskwa wysłała do Hiszpanii w okresie przedwyborczym Belę Kuhna. Ale gen. Franco nie zerwał się wtedy do walki, mając za broń i d e ę; na ideę — rozstrzygającą walki polityczne i czyniącą zbytecznymi oręże — nie stać go. Świadczy o tym dobitnie wywiad, udzielony przed dwoma tygodniami przedstawicielowi Havasa. Nic więcej gen. Franco nie potrafił powiedzieć jak to: „Przyszła Hiszpania będzie zjednoczona i wolna. Ludzie za granicą mylą się co do naszych zamiarów. Przedstawia się nas jako reprezentantów walki klas. Podejrzewa się nas o zaniedbywanie zagadnień socjalnych. Traktuje się nas jako wrogów ludu. Jest to fałsz. Unicestwimy walkę klas. Przywrócimy pracy jej godność i wolność. Będziemy z ludem przeciwko złym bogaczom". Jednym słowem stek ogólników i nic nie znaczących powiedzeń; mnóstwo obietnic — żadnego konkretnego planu realizacji. Już nie jeden pretendent do zbawienia Hiszpanii mówił takim samym językiem, dawał takie same obietnice. — Nie! T a k i m i słowami nie rozpoczyna się walki z bolszewizmem, kiedy chce się zwyciężyć nie tylko na polu walk zbrojnych, ale i w d u s z y n a r o d u.

Największym nieszczęściem Hiszpanii jest to właśnie, że do walki z bolszewizmem, która istotnie była, jest i będzie koniecznością, wziął się człowiek, nie mający żadnego konkretnego planu przebudowy kraju, a dążący do dyktatury; człowiek, co do którego mamy podstawę sądzić, że i w przyszłości nie będzie w stanie stworzyć takiego planu. I w takim razie ewentualne zwycięstwo gen. Franco nie usunie niebezpieczeństwa nowych walk wewnętrznych, nowej fali bolszewizmu. A czy będzie możliwe zacząć w Hiszpanii walkę z bolszewizmem po raz drugi? Oto pytanie, stokroć ważniejsze od dociekań korespondentów wojskowych, na temat, czy, kiedy i jak powstańcy zwyciężą pod Madrytem.

Jugosławia i Bułgaria

(z. d.) Jugosławia i Bułgaria zawarły „pakt wieczystej przyjaźni". Dokument, podpisany w Białogrodzie 24 stycznia, zawiera jedno tylko zdanie: „Między Królestwem Jugosławii a Królestwem Bułgarii panować będzie zawsze nienaruszony pokój oraz szczera i wieczysta przyjaźń". Oznacza to postawienie wzajemnych stosunków politycznych na płaszczyźnie, wykluczającej konflikty, a umożliwiającej równocześnie swobodne traktowanie problemów, istniejących między oboma państwami.

Zawarcie paktu tego posiada duże znaczenie dla polityki międzynarodowej. Jest to przede wszystkim dobry przykład, taki, jakiego dotychczas brakło. Zawarto pakt w i e c z y s t e j przyjaźni i pokoju, choć między Jugosławią a Bułgarią snują się wspomnienia wiekowych krwawych konfliktów i co więcej, Bułgaria zmuszona była oddać Jugosławii na mocy traktatu Neuilli'skiego (1919) okręgi Tsaribrodu, Bosilegradu i Strumicy, wraz z 68.000 rdzennych Bułgarów. Pakt białogrodzki osłabia rewizjonistyczny charakter polityki zagranicznej Bułgarii; budzi on skutkiem tego widoczne niezadowolenie na Węgrzech i w Niemczech. Pozwala również sądzić, że Bułgaria zrezygnuje ze swych projektów odzyskania terytoriów, utraconych w Tracji i Dobrudży w latach 1913 i 1919 na korzyść Grecji i Rumunii.

Podpisanie paktu białogrodzkiego mogło się odbyć jedynie po uprzedniej zgodzie Rumunii i Grecji, uczestniczących z Jugosławią w Entencie Bałkańskiej, grupie państw, które zjednoczyły się m. in. w celu obrony przed rewizjonizmem Bułgarii. Zgoda Grecji i Rumunii na wieczysty pokój między Jugosławią — zobowiązaną do współdziałania z nimi na wypadek agresji lub ataków dyplomatycznych ze strony Bułgarii — a Bułgarią, nie może więc oznaczać niczego innego, jak to, że Bułgaria dała Jugosławii daleko idące zapewnienia co do pokojowych zamiarów w stosunku do swoich sąsiadów, północnego i południowego, zarówno w sensie wojskowym, jak i dyplomatycznym. Zapewnienia takie mogą pociągnąć za sobą w przyszłości przystąpienie Bułgarii do Ententy Bałkańskiej i tym samym doprowadzić do ostatecznej konsolidacji stosunków politycznych w tej części Europy, która dotychczas była tylko ośrodkiem nieustannych niepokojów.

Zjednanie Bugarii dla Ententy Bałkańskiej jest od kilku lat tym, czego oczekują od Jugosławii pozostałe państwa bałkańskie. Pakt białogrodzki, zbliżający Bułgarię do Ententy Bałkańskiej, powiększa więc bałkańskie wpływy Jugosławii. Podobnie i w grupie Małej Ententy, złożonej z Jugosławii, Rumunii i Czechosłowacji, pozycja Jugosławii ulegnie po pakcie białogrodzkim wzmocnieniu. Jeżeli dołączymy do tego konsekwencje faktu, że po porozumieniu w sprawach naddunajskich, osiągniętym między Włochami i Niemcami, Włochy zaczęły szukać przyjaźni z Jugosławią, to otrzymamy pełny obraz rosnącego znaczenia Jugosławii nie tylko na Bałkanach, ale i w basenie Dunaju. Jugosławii przypadać zaczyna rola „jądra krystalizacji", wokół którego mogą się ułożyć w przyszłości wszystkie sprawy polityczne Europy południowo-wschodniej.

Ponieważ Jugosławia nie uznała dotychczas Z. S. R. R. i przeciwstawia się z nieugiętą stanowczością wszelkim kombinacjom politycznym, obejmującym to państwo, więc pewne jest, że południowo - wschodnio - europejski proces krystalizacyjny, mający Jugosławię za jądro, pociągnie za sobą eliminację wpływów sowieckich z nad Dunaju i z Bałkanów. Dla Polski, którą łączy z Jugosławią serdeczna przyjaźń i wspólność zapatrywań na szereg zagadnień międzynarodowych, wzrost znaczenia politycznego Jugosławii jest czymś, co wzbudza zadowolenie. W dodatku pakt białogrodzki, przynoszący pewne odprężenie na południowej granicy Rumunii, wzmacnia bezpośrednio jedną z naszych sojuszniczek.

Kryzys w Japonii

(z. d.) Otwarcie sesji Parlamentu w Tokio ujawniło naocznie ostre przeciwieństwa między narodem, a rządem japońskim. Konflikt rozgrywa się w zasadzie między duchem demokracji, a totalizmem państwowym, którego głównym poplecznikiem jest w Japonii armia. Przywódcy stronnictw oświadczyli, że wojsko prowadzi politykę przeciwparlamentarną; dąży do dyktatury, a wpływ wojska na rząd wzmaga się coraz bardziej i jest dziś silniejszy niż kiedykolwiek. Stronnictwa przyjęły oświadczenia ministrów w Parlamencie nie tylko k r y t y c z n i e, ale nawet w r o g o, manifestacyjnie wrogo. Okoliczność ta zmusiła rząd do dymisji.

Stronnictwa mogły się zdecydować na manifestacyjne wystąpienie przeciwko ingerencji armii w polityce tylko dlatego, że mają za sobą całą niemal opinię publiczną. Opinia jest zaś urobiona przez niezaprzeczony fakt, że polityka, prowadzona przez rządy ulegające wpływom wojska, nie dała spodziewanych rezultatów. Zdobycie Mandżurii i ugruntowanie tam cesarstwa jest wprawdzie wielką zdobyczą strategiczną, ale rezultaty gospodarcze nikłe są w porównaniu z nakładem energii i wydatkami, jakie pociąga za sobą dla Japonii Mandżuko. Rzuca się również w oczy, że koła polityczne japońskie, związane z armią, oznajmiły pod koniec 1935, iż całe Chiny Północne już są de facto w rękach Japonii; tymczasem w początkach roku 1937 nie tylko, że znaczna część Chin Północnych pozostaje de jure i de facto w rękach Nankinu, ale co więcej, wojsko nankińskie bije w Sui-Yuan Mongołów, awangardę imperializmu japońskiego. We wrześniu 1934 Hirota mógł jeszcze zająć w stosunku do Sowietów stanowisko wyzywające i nabyć od nich za bezcen kolej wschodnio-chińską, a już we wrześniu 1936, z okazji propozycji sowieckiej zawarcia z Japonią paktu nieagresji, w kołach wojskowych japońskich mówiono na temat istniejącej znacznej przewagi militarnej Sowietów na granicy Syberii i Mandżuko. Innymi słowy Japonia utknęła na martwym punkcie i nie widać na razie, aby miała niebawem pójść znowu naprzód w głąb Azji. Tymczasem w tym właśnie celu naród japoński znosił poświęcenia gospodarcze w ciągu kilku ostatnich lat W następstwie tych poświęceń nędza proletariatu miejskiego i ludu wiejskiego przekroczyła dziś nawet zdolność samozaprzeczenia Japończyków Nie odbywały się żadne reformy socjalne. Ewolucja wewnętrzna - polityczna nie istniała. Tego wszystkiego naród japoński ma już dość.

Coraz częściej podnoszą się głosy, ostrzegające, że Japonia idzie siłą rozpędu bez kontroli rozumu politycznego drogą, na którą weszła, wypowiadając wojnę Chinom w roku 1894 i Rosji w roku 1904, a więc w czasach, kiedy pozycja mocarstwowa kraju Wschodzącego Słońca była zupełnie inna. Wtedy nie było istotnie w Azji Wschodniej mocarstwa, które by mogło przeciwstawić się napaściom Japonii. Natomiast dziś stoją pod bokiem z bronią w ręku potężne Sowiety i odradzające się, a nie upadające Chiny. Opinia publiczna w Japonii zaczyna głosić, że godzina wielkich podbojów już minęła. Przyszedł naodwrót czas na pacyfikację polityki zagranicz-

nej Japonii. Tymczasem wojsko żąda nowych zbrojeń i myśli o nowych zdobyczach.

Sytuacja wewnętrzna w Japonii jest niesłychanie naprężona. Enuncjacje sfer wojskowych zawierają w sobie akcenty, dowodzące, że akty determinacji ze strony wojska nie są wykluczone, a naród buntuje się coraz to jednomyślniej przeciw niewoli politycznej i gospodarczej w rękach nie tyle nawet państwa, ile czynników skrajnie imperialistycznych, dążących do cezariańskich podbojów.

O NAS U OBCYCH

(Stosunki polsko-rumuńskie — Polska w roku 1936 — »Front narodowy« czy »Front ludowy«?)

Nawiązanie w ostatnim czasie — po okresie pewnego naprężenia — *ściślejszych kontaktów politycznych między Rumunią a Polską* spotkało się z nietajonym zadowoleniem kół niemieckich. Wyraz temu zadowoleniu dał między innymi i *„Berliner Tageblatt"* (nr. 38 z 23. 1), chcący widzieć — podobnie zresztą, jak i każdy Niemiec — w tym fakcie wyraz usamodzielniania się i wyswabadzania się państw małych spod opieki państw wielkich (w tym wypadku — Rumunii spod opieki Francji). Równie entuzjastycznie powitała opinia niemiecka niedawno temu zbliżenie się Jugosławii do Bułgarii, dopatrując się w nim również tendencji do likwidowania wpływów wielkich mocarstw w basenie naddunajskim.

Rumunia — powiada „Berliner Tageblatt" — znajdowała się już od dłuższego czasu w stanie pełnej bezbronności w stosunku do swego najgroźniejszego i najzaciętszego wroga, a mimo to nie wyciągnęła z tego stanu rzeczy odpowiednich wniosków, jak to zrobiła Polska, normalizując swoje stosunki z Rzeszą Niemiecką. Lekceważenie żywotnych interesów państw bałkańskich, doprowadziło do zaostrzenia się stosunków między Rumunią a Jugosławią i Polską, a jedynie tylko Czechosłowacja, pod niewątpliwymi inspiracjami Benesza, trwała pozornie przy południowowschodnim sojuszniku aliansu sowiecko - francuskiego, przymykając równocześnie oczy na zagrażające od wschodu niebezpieczeństwo. Zlikwidowanie min. Titulescu, który był gorącym orędownikiem zbliżenia sowiecko - francuskiego w Rumunii, pozwoliło wyjaśnić zagmatwaną sytuację polityczną kraju i wykreślić polityce rumuńskiej nie obciążone ubocznymi względami drogi. W rezultacie doprowadziło to do pogłębienia przyjaźni z Jugosławią i ponownego zbliżenia do Polski. Polska miała te same interesy i te same troski, co Rumunia. Była ona jednak w tym szczęśliwym położeniu, że posiadała wielkiego polityka, który, orientując się, skąd grozi niebezpieczeństwo, podejmował natychmiast potrzebne decyzje. Dlatego też wystarczało, by król Karol poszedł w ślady Piłsudskiego, a sytuacja była uratowana.

Polityka polska — powiada dalej „Berliner Tageblatt" — spotykała się w ostatnich latach dość często z niezrozumieniem. Tymczasem Piłsudski nigdy nie myślał o jakimś antagonizmie między Polską i Francją. Zbliżenie Polski do Niemiec, nastawionych zdecydowanie antybolszewicko, nie wynikło wcale z jakiejś zmiany uczuć narodu polskiego, o czym zresztą Niemcy mieli okazję przekonać się w ostatnich tygodniach. Do takiego kroku zmusiła Piłsudskiego potrzeba i ta sama potrzeba sprawia, że jego następcy kontynuują w dalszym ciągu jego linię polityczną. Polityka polska stanowi tu typowy przykład polityki z asekuracją przez utrzymanie dobrych stosunków z Niemcami na wypadek napaści ze strony Sowietów, a z Francją na wypadek jakichś niebezpieczeństw od Zachodu. Dążność do utrzymania sojuszu z Francją nie kłóci się zatem z logiką i jest łatwa do zrozumienia.

W podobnej sytuacji znajduje się również i Rumunia, nawiązująca ostatnio szereg kontaktów politycznych. Na zachodzie i południu ma trzymać w szachu Węgry i Bułgarię Mała Ententa Bałkańska, przeciwko Sowietom ma służyć ożywienie i pogłębienie starego sojuszu z Polską. Utrzymanie dobrych stosunków polsko - rumuńskich jest przede wszystkim podyktowane potrzebą strategiczną. Skuteczną współpracę w czasie ewentualnego konfliktu musi poprzedzić tak samo skuteczna kolaboracja w czasie pokoju. *„Obie strony najprawdopodobniej zdają sobie dobrze sprawę z tego, że nawet wspólne ich siły nie wystarczą, by przeciwstawić się czerwonemu zalewowi. Jeżeli w chwili obecnej Rumuni sądzą, że nie potrzebują już żadnej asekuracji, to niewątpliwie liczą oni na współpracę między Polską a Niemcami, które] efekt stałby się automatycznie również i ich udziałem, właśnie ze względu na łączący ich z Polską sojusz"(!).*

Rumunia — powiada dalej „Berliner Tageblatt" — nie chce stać się krajem przemarszu dla armii sowieckiej, ale równocześnie uchyla się od opowiedzenia się za frontem antybolszewickim, rezerwując dla siebie — podobnie jak i Polska — rolę kraju środka między dwoma państwami, reprezentującymi dwa zwalczające się światopoglądy. *„Przyszłość pokaże, czy czerwony imperializm uszanuje neutralność tych dwóch krajów środka"*. Tego rodzaju taktyka stwarza, że polityka rumuńska posiada oblicze nieokreślone, nieskrystalizowane. Niemcom muszą na razie wystarczyć solenne zapewnienia polityki rumuńskiej, że Rumunia nie weźmie żadnego udziału w jakiejkolwiek akcji skierowanej przeciwko Niemcom.

Niejasność co do wartości i znaczenia sojuszu polsko - rumuńskiego potęguje jeszcze — zdaniem „B. T." — fakt istnienia antagonizmów między Polską i Gdańskiem z jednej, a Rumunią i Węgrami z drugiej strony. Zlikwidowanie tych antagonizmów leży w interesie obu stron właśnie ze względu na istotny cel sojuszu, jakim jest stworzenie wspólnego frontu na wschodzie, który byłby osłabiony z chwilą konieczności stoczenia przez któregoś z sojuszników równoczesnej rozgrywki na innym odcinku. *„Ze względu na zdecydowanie antyniemieckie ostrze polityki czeskiej Niemcy mogą jedynie się cieszyć z występujących nad Dunajem i na wschodzie tendencji do prowadzenia polityki niezależnej"*.

* * *

Na łamach *„Der Danziger Vorposten"* (nr. 7 i 9) przedstawia cytowany już wielokrotnie na tym miejscu naczelny redaktor tego pisma, Wilhelm Zarske, w dwóch kolejnych artykułach *bilans polskiej polityki wewnętrznej i zewnętrznej w r. 1936.* Charakterystyczne dla tego „bilansu" jest to, że fakty i wydarzenia z dziedziny polityki wewnętrznej Zarske ocenia negatywnie, fakty zaś i wydarzenia z polityki zewnętrznej — pozytywnie.

Przystępując do analizy *stosunków wewnętrznych w Polsce,* Zarske stwierdza, że stale narastającej opozycji przeciwstawić można dziś w Polsce jedynie szczątki tego, co się dawniej nazywało blokiem rządowym. Do jakiego stopnia postąpił już proces rozkładowy tego bloku, świadczy — zdaniem Zarske'go — fakt, że na forum parlamentarnym dochodziło ostatnio między posłami do ostrych utarczek słownych, oraz do atakowania przez posłów rządu. Fakty te wywołały zdziwienie przede wszystkim dlatego, że wiadomym było powszechnie, że występujący z mównicy parlamentarnej posłowie byli tymi samymi posłami, którzy uzyskali swoje mandaty jedynie dzięki zaufaniu, jakim obdarzyły ich czynniki rządowe, oraz dzięki wspólnej platformie politycznej. Różnice między obu skrajnymi skrzydłami dawniejszego „frontu rządowego" zaostrzyły się ostatnio do tego stopnia, że doprowadziły do powstania szeregu procesów sądowych (np. proces wojewody Grażyńskiego z red. Mackiewiczem).

Sytuację ogólną komplikuje jeszcze fakt, że — jak dotąd — bez wyniku pozostały prace płk. Koca nad zmontowaniem nowego obozu politycznego i że poza tym mało jest nadziei, by mógł w ogóle powstać obóz t. zw. koncentracji narodowej, zdolny do działań i opierający się o Prezydenta Państwa i Marszałka Śmigłego-Rydza. Ponieważ dalej nie ma mowy o zbliżeniu się narodowych demokratów do rządu, nie sposób myśleć o stworzeniu jakiegoś frontu antybolszewickiego. Tymczasem rozdźwięki ideologiczne w dawnym obozie rządowym doprowadziły do przeprowadzenia w nim zasadniczego podziału na dwa fronty, na jakie dzisiaj rozpadła się Europa: Oto reprezentant jednego z tych kierunków, „Kurier Poranny", radby widzieć w Hiszpanii zwycięstwo czerwonych, a reprezentant drugiego odłamu, „Czas", opowiada się wyraźnie i zdecydowanie za gen. Franco.

Wyżej przedstawiony stan rzeczy — powiada Zarske — wskazuje z jednej strony na olbrzymie trudności, na jakie napotyka każda próba oceny stosunków wewnętrzno - politycznych, z drugiej strony — wskazuje na rozpadanie się obozu piłsudczyków.

Czy Polsce grozi „front ludowy"? — zapytuje dalej Zarske. W odpowiedzi stwierdza on, że konkretnego niebezpieczeństwa „frontu" nie ma, że jednak istnieją w kraju predyspozycje ku realizacji takiego „frontu". Do tych predyspozycji należy m. in. rozwinięcie w ostatnim czasie na kresach wschodnich kraju, wśród biednej ludności tych obszarów, silnej propagandy komunistycznej, ucieczka komunistów pod sztandary PPS (Łódź), oraz wypowiedzenie się za koncepcją „frontu ludowego" Związku Nauczycielstwa Polskiego. Fakty te — powiada Zarske — wskazują wyraźnie i niedwuznacznie na to, że nad Polską zawisło niebezpieczeństwo.

Z powyższej analizy aktualnego układu sił politycznych w Polsce, nie należy wyciągać wniosku, że system obecny jest słaby i bez oparcia. Fakt ścierania się poglądów wskazuje jedynie na to, że nie powiodły się koncepcje Marszałka Piłsudskiego, zmierzające ku „odpartyjnieniu" społeczeństwa i nastawieniu go wyłącznie na pełnienie przezeń wszechstronnej służby dla Państwa. W tej dziedzinie życia polskiego nie należy się spodziewać żadnych gruntownych przemian i przeobrażeń, gdyż opozycja przeciwko panującemu obecnie systemowi nie wystąpiła dotąd z żadnym twórczym a nowym programem przebudowy Państwa.

Ponieważ więc na żadne zmiany wewnętrzne w Polsce się nie zanosi, gdyż nie pozwoli na to gorące przywiązanie społeczeństwa polskiego do armii i jej Wodza, Zarske wypowiada przekonanie, że przy władzy w dalszym ciągu utrzymywać się będą piłsudczycy, t. zn. ci ludzie, którzy „wzięli na swe barki ciężar realizowania wskazań swego Komendanta", a którzy w polityce zewnętrznej doprowadzili do likwidacji stanu walki na odcinku polsko - niemieckim.

* * *

Oceniając negatywnie pociągnięcia polskich czynników rządowych, przeprowadzane na przestrzeni roku 1936 na odcinku spraw wewnętrznych, Zarske stara się specjalnie podkreślić *pozytywne* osiągnięcia rządu polskiego *na forum międzynarodowym.*

Wskazując na nawiązanie ściślejszych kontaktów politycznych z Rumunią, jako na jedno z ostatnich wielkich osiągnięć polskiej polityki zagranicznej, Zarske przechodzi do przeprowadzenia ciekawej analizy metod pracy min. Becka. Beck — powiada Zarske — umie wyzyskać niezbyt szczęśliwą geopolityczną pozycję Polski między Berlinem i Moskwą i nadawać polityce polskiej cechy polityki samodzielnej, co byłoby niemożliwe, gdyby Polska nie leżała w środku między dwoma wielkimi a wrogo do siebie ustosunkowanymi państwami. „System paktów" min. Becka ma

to do siebie, że likwiduje w polityce zagranicznej elementy ryzyka i że pozorne sprzeczności w tej polityce pozwala przedstawiać pod postacią — *równań*. Oto kilka przykładów takich właśnie równań: Warszawa może utrzymywać dobre stosunki z Niemcami i równocześnie żyć w zgodzie z Moskwą. Warszawa, opierając się na przesłankach natury wojskowo - militarnej, dla zapewnienia sobie ochrony przed Czechosłowacją, przywiązuje do siebie Bukareszt, który jest znowu scjusznikiem Pragi w Małej Entencie. Polska odgrzewa alians z Francją, a równocześnie pozwala sobie ostro strofować jej wojskowego kompana — Sowiety — za wystąpienia w sprawach bałtyckich. Polska, wyzyskuje z jednej strony Ligę Narodów dla zadokumentowania przed nią swoich praw do Gdańska, z drugiej strony potępia Ligę wtedy, gdy ze względu na sprawy mniejszościowe Liga staje się jej niewygodna. Wreszcie Polska wypowiada się za powszechnością pokoju, co nie przeszkadza jej równocześnie zawierać paktów dwustronnych.

Tego rodzaju taktyka, zmierzająca do szukania równowagi we wszystkich kierunkach, znalazła w polityce polskiej w roku ubiegłym pełne zastosowanie. Oto np. w roku tym stosunki z Węgrami, Jugosławią i Szwecją Polska ułożyła tak, że ze stolicami wspomnianych państw utrzymuje ona obecnie stały, bezpośredni kontakt. Ta *wielooczność* Warszawy („*Warschau mit vielen Augen*"), jako logiczny wynik jej postawy politycznej, nie pozwala jej na wiązanie się z koncepcjami, które by przeszkadzały jej w dziele rozbudowywania wielostronnego systemu paktów.

Samodzielność polityki polskiej lat ostatnich wynika — zdaniem Zarske'go — przede wszystkim z faktu zawarcia i wprowadzenia w życie paktu polsko - niemieckiego. Bez niego Polska byłaby w dalszym ciągu trabantem politycznym Francji i jej pionkiem na szachownicy polityki europejskiej. Doniosły charakter paktu, jako pewnego rodzaju zabezpieczenia tyłów, jest w Polsce uznawany przez wszystkie poważniejsze koła polityczne. Podobnie też oceniają pakt przeciwnicy Becka, widząc w obecnej współpracy Warszawy z Berlinem atut Polski w europejskiej grze politycznej. Pakt ten przeszedł zwycięsko próbę czasu, do tego stopnia, że nawet zbliżenie polsko - francuskie nie zdołało zamącić wzajemnych stosunków, podkreślając w ten sposób zupełny brak w nim momentów agresywnych.

„Bilans polskiej polityki zagranicznej w roku ubiegłym — kończy Zarske — jest bezwzględnie aktywny. Strona niemiecka obserwowała pozytywny rozwój tej polityki bez zawiści. Sąsiad polski był dla Berlina czynnikiem, który nie stanął na drodze niemieckiej polityki pokojowej".

NOTATNIK POLEMICZNY

KUNDLOM SZCZEKAJĄCYM Z ZA PŁOTA

Opadły pieski mnie zażarcie
Na moim nowym życia starcie,
Ujada każdy, co ma sił,
Lecz każdy się za płotem skrył?
Więc wołam: proszę pieskich mości!
Ja wiem, że chodzi tu o kości!
Mówmy otwarcie, tak jak z kart,
Wiadomo kto i ile wart.
Lecz zanim gadać będziem szczerze
O „izbie", „strzelcu", o „karierze",
I o „wizycie u pasterza",
I dokąd ten harmider zmierza,
Z za płota, kundle, tu, na drogę!
Żołnierski „ordnung" zrobić mogę,
Lecz muszę wiedzieć, kto i zacz?
Czy waść jest pokurcz, czy rasowy?
Ogon obcięty, czy esowy?
Więc się pokazać, bando, racz!
O ochłap chodzi, czy o kieski,
Z za płota wyjść, tchórzliwe pieski!

Leon Suchorzewski
(Poseł na Sejm R. P.)

Włodzimierz, w styczniu r. 1937.

PRZEGLĄD PRASY

Perspektywy wyścigu zbrojeń

POLSKA ZACHODNIA (nr. 24 z 24. 1.) zwraca uwagę na niesłychane tempo zbrojeń, z jakim spotykamy się w ostatnim czasie przede wszystkim w państwach nacjonalistycznych: w Niemczech, Włoszech i Japonii. Celem tych zbrojeń jest obalenie istniejącego porządku międzynarodowego dla zrealizowania ekspansji państwowej i narodowej członków tego bloku. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wyścig zbrojeń musi doprowadzić bezwzględnie do jednej tylko konkluzji, którą będzie nowa wojna światowa.

Uwzględniając wszystkie elementy problemu zbrojeń, „Polska Zachodnia" dochodzi do prognoz całkiem odmiennych, gdy chodzi o stosunek sił na Zachodzie oraz na Wschodzie Europy.

Na Zachodzie

„mamy dwa optima dla Niemiec i Włoch, z których jedno przypada na rok bieżący, drugie zaś na rok 1940—1941.

Wiosną i latem 1937 armia liniowa Rzeszy osiągnie maksimum liczebności i sprawności bojowej. Poczynając od jesieni roku 1937, dokładnie mówiąc — od zwolnienia rocznika 1914, stan numeryczny armii czynnej będzie się zmniejszał aż do roku 1940, ponieważ w tym okresie będą wcielone roczniki, urodzone w czasie wojny światowej, daleko słabsze od normalnych. Dozbrojenie Francji i Anglii pozostanie w ciągu roku daleko w tyle poza dozbrojeniem Rzeszy...".

Tymczasem

„W r. 1940-41 Niemcy nie będą mogły już liczyć na lukę w pancerzu, chroniącym wschodnią granicę Francji. Zato plan czteroletni niemiecki będzie ukończony, a tym samym przygotowanie ekonomiczne Niemiec do wojny dojdzie do szczytu. Jednocześnie przewaga niemiecka w ludziach, zdolnych do noszenia broni, w stosunku do Francji, osiągnie swój punkt kulminacyjny, poza tym stopniowo zacznie się zmniejszać, gdyż załamanie się płodności w dobie powojennej było w Rzeszy daleko silniejsze, niż we Francji. To samo dotyczy stosunku sił pomiędzy Włochami i Francją".

A na Wschodzie Europy?

„Natomiast, gdy chodzi o front wschodni, to przewaga militarna Niemiec nad Rosją Sowiecką była największa w jesieni r. 1936, a od tej chwili zmniejsza się i będzie się zmniejszała bez przerwy. Zasoby naturalne Z. S. S. R. są o tyle większe, niż Rzeszy, iż żadna wyższość techniczna nie zdoła na dłuższą metę skompensować nieporównanie większego bogactwa surowców w państwie sowieckim... Jeszcze większa jest przewaga Rosji na punkcie liczebności materiału ludzkiego. Przewaga ta będzie stale wzrastać. Ilości mogą Niemcy co prawda przeciwstawić daleko większą jakość. Czy i jak długo ta jakość zrównoważy przewagę liczby rosyjskiej, to jest najważniejsze zagadnienie stosunku sił pomiędzy Niemcami i Sowietami".

Ponieważ — konkluduje „Polska Zachodnia" — Niemcom chodzi tu raczej o momenty psychologiczne, wszelkie przewidywania na ten temat byłyby zawodne.

„Natomiast jest całkiem jasny interes Niemiec w sprowokowaniu jak najszybszym wojny z Sowietami. Okoliczność tę trzeba uwzględniać przy ocenie obecnej gry dyplomatycznej Niemiec".

Rząd i parlament

Lwowski WIEK NOWY (nr. 10 (700) z 24. 1.) wyjaśnia niektórym zatroskanym o prestiż ciał parlamentarnych senatorom, na czym polega niedomaganie w układzie wzajemnym rządu i parlamentu. Pismo sądzi, że sprawa jest prosta, a równocześnie ważna. Samo wnoszenie DO RZĄDU przez parlament skargi NA RZĄD nie przyczyni się — zdaniem pisma — do podniesienia powagi parlamentu i o tej powadze nie świadczy.

„Czy Rząd jest winien? Raz już przy podobnej sposobności stwierdziliśmy, że nie ma danych, by posądzać rząd o rozmyślne lekceważenie parlamentu. Jeśli pewne okoliczności nie świadczą o szczególnie wysokim kulcie obu izb ze strony rządu, to powody tkwią poza dobrą lub złą wolą. Wynikają one po części z Konstytucji, która inaczej normuje wzajemny stosunek obu czynników i nie zmusza rządu do ciągłego, trwożnego śledzenia nastrojów sejmowych czy senackich. Wynika dalej ze zwyczaju, obowiązującego w ostatnich latach, a polegającego na tym, że nie parlament był źródłem siły i inspiracji rządów, lecz tak rząd, jak parlament, miały to źródło wspólne poza sobą i nad sobą... I wreszcie nie mógł bez następstw pozostać fakt, że waga tego parlamentu jest z przyczyn poza-konstytucyjnych znikoma".

Senatorowie, przed wytoczeniem swych zarzutów, powinni byli głębiej zastanowić się nad tym, dlaczego właściwie rząd miałby wysoko cenić parlament, oraz nad tym, jaką siłę reprezentuje on i czyją wyraża opinię.

Bo — jak powiada dalej „Wiek Nowy" —

„momentem decydującym — i na to żadne żale nie pomogą — jest to, kogo parlament reprezentuje. Jeśli rzeczywiste siły społeczne, rzeczywiste nastroje, rzeczywiste zorganizowane masy, wówczas znaczenie parlamentu jest duże, choćby jego konstytucyjne uprawnienia były małe. Jeśli natomiast parlament jest instytucją od mas oderwaną — wówczas nie pomoże mu nawet pełnia władzy formalnej".

Rzeczywistość tymczasem mówi, że

„obecny parlament oparcia o społeczeństwo nie posiada. Znajduje się w sytuacji słabszej, niż rząd, który posiada bodaj pełne zaufanie Głowy Państwa. Doszedłszy do mandatów nie jako emanacja realnych sił, lecz peryferiami życia politycznego i z wyraźną izolacją od tych sił, nie może parlament żądać, by go oceniano ponad jego własną moc. Żądając tego, upokarza się niepotrzebnie".

Taki stan rzeczy jest, oczywiście, nienormalny, ale jest on nieuniknioną konsekwencją faktów, składających się na całe obecne „prowizorium polityczne".

»Demokracja« i »Dyktatury« a endecja

WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY (nr. 23 z 23.1) występuje przeciwko zarysowującym się w prasie światowej tendencjom do podziału państw na dwie kategorie: na państwa demokratyczne i państwa dyktatorskie. Podział istotny jest — według „W. D. N." — zgoła inny.

„Jeśli zaś chodzi o ideologię, na której są zbudowane sposoby rządzenia w różnych państwach, to można powiedzieć, że są państwa, w których władza spoczywa w rękach masonerii, i te się nazywają „demokracjami", i są państwa, w których władza spoczywa w rękach żywiołów narodowych i te są nazywane dyktatorskimi".

Wyjaśniając dalej, że nawet i te nazwy są niewłaściwe, bo masoneria nie jest nigdzie instytucją demokratyczną, a dyktatura nie jest wcale cechą konieczną państw narodowych, „W. D. N." stwierdza, że w bloku demokratycznym, formowanym dla przeciwstawienia się „ruchowi odrodzeńczemu narodów europejskich", dla Polski nie ma miejsca, gdyż zbrojna rozgrywka między ewentualnymi dwoma blokami — narodowym i demokratycznym — odbyłaby się przede wszystkim na terytoriach Polski i Belgii.

„Wystarczy spojrzeć na mapę i przypomnieć sobie dzieje Europy, by dojść do wniosku, że Państwo Polskie padłoby ofiarą podobnego

starcia, że nie masz nic niebezpieczniejszego dla Polski, położonej na otwartej równinie między Rosją i Niemcami, jak organizacja i starcie dwóch bloków ideologicznych".

W takim stanie rzeczy elementarny, chłopski rozum nakazuje Polsce trzymać się polityki dotychczasowej, to znaczy nie angażowania się ani po stronie „demokracji" ani też po stronie „dyktatur".

„Nie oświadczajmy się ani za „wielkimi demokracjami", ani za „dyktatorami", prowadźmy politykę polską i tylko polską, która musi mieć wyraźne podstawy ideologiczne (antymasońskie, antykomunistyczne i antyżydowskie), lecz równocześnie musi się liczyć z interesami, wynikającymi z geograficznego położenia naszego kraju i z jego przeszłości dziejowej. Zachowując właściwą miarę i licząc się z warunkami i okolicznościami, będziemy mogli, idąc powyżej wskazaną drogą, nie tylko uniknąć katastrof, lecz wyciągnąć z obecnej sytuacji duże korzyści".

Dobrze się stało, że nareszcie w mentalności naszych endeków zaczyna się ugruntowywać myśl o prowadzeniu „polityki polskiej i tylko polskiej". Endecy przekonywują się namacalnie o tym, że obce wzory nam nie dogadzają i że kardynalnym postulatem naszej polityki jest obowiązek prowadzenia jej na warunkach i we formach, odpowiadających naszej rzeczywistości polskiej. A przecież niedawne są jeszcze czasy, kiedy o tym w szeregach endeckich myślało się inaczej!

»Faryzeusze« i »grosz wdowi«

Oenerowskie „ABC" zainicjowało niedawno akcję przeciwko przyjmowaniu przez prasę endecką ogłoszeń przedsiębiorstw żydowskich oraz przeciwko wszelkiej współpracy prasy endeckiej z żydowskimi biurami ogłoszeniowymi. Zareagował na to „Kurier Poznański", wdając się z „ABC" w merytoryczną dyskusję, przede wszystkim stwierdzając, że akcja tego typu jest — owszem — na miejscu, lecz że winna być przeprowadzona rozumnie i planowo, a nie tylko z huczkiem hurra-patriotycznym. Wyrazem takiej planowości miałoby być m. in. porozumienie się wydawnictw, posiadających rozległy dział ogłoszeniowo - reklamowy.

W jednym z ostatnich numerów „A. B. C." podkreśliło — w związku ze stanowiskiem „Kuriera Poznańskiego" w omawianej sprawie — swoje zadowolenie z pozytywnego ustosunkowania się „K. P." do zainicjowanej przez siebie akcji. Nie podoba się mu tylko to porozumienie się „rekinów ogłoszeniowo - reklamowych", które taskawie nie zignorowały „warunków istnienia wydawnictw słabych".

„Ciekawe, jak będzie ta linia podziału pracy, projektowana przez „Kurier Poznański", wyglądała. Prawdopodobnie... do okrągłego stołu obrad dopuszczone zostaną koncerny „Kuriera Warszawskiego", tudzież „I. K. C.", ewentualnie prosa czerwona? Po drugiej stronie linii podziału pozostanie z pewnością pokrewny „Kurierowi Poznańskiemu" — „Warszawski Dziennik Narodowy" z „Robotnikiem" i... z „ABC", jako pisma, które „ilością ogłoszeń nie imponują".

Z powyższego zdaje się wynikać, że wśród prasy endeckiej jest i elita i szary tłum i że różnice między jedną klasą a drugą są ostro zarysowane. Ciekawe! Ale słuchajmy dalej:

„Przyznajemy się — pisze „ABC" — że sprowadzenie nas do roli szwoleżerów prasy bynajmniej nam nie ubliża, idą czasy takie, że zaszczytniej jest stanowić czoło ruchu ideowego, niż wlec się w jego ogonie z ciężarem balastów skomplikowanych interesów rodzinno-wydawniczych.. Niech rekiny nie pogardzają naszym groszem wdowim i nie stają się faryzeuszami!"

No, ale jakby sytuacja wyglądała, gdyby tak przypadkiem do „ABC" doczepione były podobne, jak do „Kuriera Poznańskiego", „ciężary balastów skomplikowanych interesów rodzinno-wydawniczych", co? Inaczej? Chyba nie!

Wieś nie ma ludzi

Konstatuje to świeżo „KURIER WILEŃSKI" (nr. 213 z 22. 1.) w odniesieniu do północo - wschodniego zakątka Rzplitej, t. zn. w odniesieniu do wsi wileńskiej, nowogródzkiej i poleskiej. W odniesieniu do tych terenów pismo stwierdza, że:

„1) Tylko niewielki procent młodzieży wiejskiej może, ze względów materialnych, odbyć studia średnie lub wyższe. 2) Młodzież wiejska z reguły po uzyskaniu wykształcenia nie wraca, a w każdym razie nie chce wracać na wieś. 3) Wieś odczuwa brak ludzi, których poziom umysłowy i wiadomości fachowe mogłyby podnieść ją gospodarczo i kulturalnie".

Stwierdzenie powyższe można odnieść do całego kraju i przytoczone fakty są wszędzie zjawiskiem nagminnie występującym i powszechnym.

„Zasadnicza przyczyna — pisze dalej „Kurier Wileński" — ucieczki ze wsi inteligencji pochodzenia wiejskiego, leży w niesłusznym pojęciu własnej niższości, jakie na wsi i dziś jest jeszcze silnie rozpowszechnione, a które wyrobiła wielowiekowa supremacja warstw szlacheckiej i mieszczańskiej nad stanem chłopskim...

„Ucieczka inteligencji ze wsi w niemałym stopniu wywołana jest ponadto specjalnym nastawieniem do pracy, jakie w młodzieży wiejskiej wyrabia niejednokrotnie szkoła powszechna. Program wiejskich szkół powszechnych, nie dostosowany do życia i potrzeb ludności rolniczej, a przy tym nie zawsze zżyty ze środowiskiem wiejskim personel nauczycielski — wyrabiają często w uczniach mylne przekonanie o „lekkim" życiu i zarobkach w mieście, a ciężkiej i beznadziejnej pracy rolnika".

Zaradzić złu może tutaj — według cytowanego pisma — młoda inteligencja wiejska.

„Młodzież wiejska, której udostępnić należy w jak najszerszym zakresie możność zdobycia wiedzy, powinna się stać pomostem, łączącym wieś i miasto, dlatego, że ona przede wszystkim spotka się ze zrozumieniem i posłuchem w terenie. Młodzież ta przy tym powinna się składać nie ze słabych jednostek, odrzuconych przez selekcję życiową, lecz z jednostek równie tęgich i mądrych, jak poważne są zadania, które ich w pracy wiejskiej oczekują. Jeśli młodzież wiejska rzeczy te zrozumie i, zamiast zrywać ze środowiskiem chłopskim, z którego wyszła, dążyć będzie do podciągnięcia go na poziom wyższy kulturalnie i gospodarczo — wtedy przestanie być grupą malkontentów, obciążonych dziedzictwem „niższego" pochodzenia, a stanie się elitą, posiadającą najpotężniejsze w Polsce współczesnej podstawy bytu".

WŚRÓD KSIĄŻEK

Janusz Woliński: POLSKA I KOŚCIÓŁ PRAWOSŁAWNY. Zarys historyczny. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Lwów, 1936. Str. 152.

Dzieje Kościoła Prawosławnego stanowiły do niedawna teren przez historiografię polską zaniedbany. Dla pewnych tylko okresów tych dziejów, jak np. dla okresu Unii Brzeskiej, istniały prace historyków polskich, reszta stanowiła wyłączną niemal domenę uczonych obcych: rosyjskich i ukraińskich. Uczonym tym zawdzięczamy również pierwsze ujęcia syntetyczne stosunków Polski z Kościołem Prawosławnym, ujęcia, rzecz jasna, nacechowane nieżyczliwością dla nas.

Zainteresowanie dla spraw Kościoła Prawosławnego w Polsce poczęło wzrastać w historiografii polskiej dopiero w ostatnich latach (mniej więcej od r. 1933). W tym czasie ukazało się cały szereg poważnych rozpraw źródłowych, jak np. A. Derugi: Piotr W. a unici i unia kościelna (1700 — 1711), M. Andrusiaka: Józef Szumlański, pierwszy biskup unicki lwowski (1667 — 1708), E. Sakowicza: Kościół Prawosławny w Polsce w epoce Sejmu Wielkiego (1788 — 1792) oraz kilka ciekawszych artykułów syntetycznych (K. Lewicki: Sprawa unii Kościoła Wschodniego z Rzymskim w polityce dawnej Rzeczypospolitej, Wł. Tomkiewicz: Cerkiew dyzunicka w dawnej Rzeczypospolitej Polskiej). W r. 1934 wyszedł tom I fundamentalnej monografii Kazimierza Chodynickiego p. t. „Rzeczpospolita Polska a Kościół Prawosławny", doprowadzający wykład dziejów Kościoła Prawosławnego w Polsce do r. 1632. Okres dalszy pozostał niestety bez opracowania syntetycznego. Brakowało również jakiejś popularniejszej syntezy dziejów Kościoła Prawosławnego w Polsce, dostosowanej do potrzeb szerszego ogółu inteligencji czytającej.

Tę ostatnią lukę wypełnia w znacznej mierze świeżo ogłoszony „zarys historyczny" dr. J. Wolińskiego. Jest to treściwa synteza stosunków pomiędzy Polską a prawosławiem od chwili ich zetknięcia się dziejowego aż do czasów ostatnich. Ujął ją autor w sześć rozdziałów, poprzedzonych krótkim wstępem biograficznym.

W rozdziale pierwszym przedstawia genezę metropolii polsko - litewskiej na szerokim tle stosunków Polski z chrześcijaństwem wschodnim od czasów najdawniejszych. Szczególną uwagę poświęca przy tym rywalizacji litewsko - moskiewskiej w sprawie obsadzania stanowiska zwierzchnika religijnego całej Rusi prawosławnej — metropolity kijowskiego.

W rozdziale drugim omawia losy metropolii prawosławnej w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim w wiekach XV i XVI, rzucając m. in. ciekawe światło na kwestię stanowiska prawno - politycznego wyznania prawosławnego w państwie Jagiellonów. Jak się okazuje, stanowisko to nie było bynajmniej tak upośledzone, jak to wynikałoby z prac historyków rosyjskich. Kościół Prawosławny wiele zawdzięczał opiece państwa, zwłaszcza w dziedzinie spraw majątkowych.

Rozdział trzeci zarysu dr. Wolińskiego poświęcony jest Unii Brzeskiej i upadkowi organizacji metropolitalnej. Czasy te dzięki istniejącym opracowaniom polskim, w szczególności pracom ks. bp. Likowskiego, znane są dosyć dobrze, w przedstawieniu ich jednak przez dr. Wolińskiego znajdujemy szereg rysów nowych.

Wiele również nowych spostrzeżeń i uwag zawierają bogate w treść rozdziały: czwarty — poświęcony nieopracowanemu jeszcze wyczerpująco zagadnieniu wznowienia metropolii oraz piąty, omawiający jej dzieje w wiekach XVII i XVIII.

Natomiast ostatni szósty rozdział pracy, poświęcony okresowi od rozbiorów Polski do naszych czasów (ściśle do r. 1930) ma charakter raczej pobieżny.

Całość zarysu dr. Wolińskiego składa się na doskonały podręcznik dziejów Kościoła Prawosławnego w Polsce, do którego mogą z pożytkiem zaglądać nie tylko laicy, ale i fachowcy-historycy, ci ostatni zwłaszcza póki nie dobiegnie końca dzieło Chodynickiego. K. S.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem